

Ryanne Corey

Bogata panna i jej
ochroniarz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

To była ekstra robota.

Billy Lucas leżał sobie wygodnie na łóżku, oparty na trzech miękkich poduszkach i opychał się lodami bananowymi. I lody, i poduszki to były gratyfikacje związane z tą pracą; Harris Roper powiedział mu, że ma się nie krepować i mówić, jeśli tylko będzie czegoś potrzebował.

Billy nie należał do ludzi nieśmiałych, więc nie odmówił sobie tych drobnych luksusów, poza tym była tu śliczna ciemnoskóra pokojówka, która przynosiła mu z kuchni jedzenie, kiedy tylko sobie zażyczył. Nie mówiła po angielsku, ale za to chichotała za każdym razem, kiedy do niej mrugnął. Billy umiał postępować z kobietami i wiedział, jak na nie działa. Był to swego rodzaju dar, z którego potrafił korzystać, lecz którego nie nadużywał. Jednak pomimo to nie dążył wcale do stworzenia stałego związku; życie było zbyt ciekawe, aby chciał się ustabilizować i osiąść gdzieś w domku na przedmieściu. Na samą myśl o tym przechodził go dreszcz.

Jego pokój pierwotnie przeznaczony był chyba dla szofera. Tu, w Palm Beach, Billy czuł się na razie dość obco. On, chłopak z Kalifornii, wychowany w kryminogennych okolicach Oakland, przyzwyczajony był raczej do krat w oknach i do ogrodzeń najeżonych tłuczonym szkłem niż do luksusów. Warunki, w jakich wyrósł, nauczyły go sztuki przetrwania i ciągłej czujności. Nigdy, w ciągu swego trzydziestotrzyletniego życia, nie zdążył zaznać nudy, jaka, niestety, malowała się na twarzach tych dzieci dobrobytu, zamieszkujących rezydencje Palm Beach.

Obecne zajęcie Billy'ego polegało na nieustannym obserwowaniu Julie Roper, za pomocą systemu pięciu monitorów połączonych z kamerami, zamontowanych na suficie nad jego łóżkiem. Jeden z nich pokazywał pełną panoramę tutejszego pałacu, drugi obejmował dróżkę

prowadzącą do pawilonu dla gości, trzeci - wschodnią stronę posiadłości razem z garażem, piąty, ostatni, a zarazem jego ulubiony, pokazywał wejście do prywatnych pokoi Julie Roper.

Śledził więc jej wszelkie posunięcia w dzień i w nocy, a kiedy czasami gdzieś wychodziła, towarzyszył jej jak cień.

Kiedyś wieczorem poszedł za nią na plażę i z wysokiego brzegu patrzył, jak biegała bosą po piasku, z dziecinną radością i beztroską. Zdawał już sobie sprawę, że jest to osóbką dość nieprzewidywalną, ale to czyniło jego pracę tym ciekawszą. Julie miała klasę. Widać to było w każdym jej geście, kiedy szła czy kiedy odrzucała włosy na plecy. Billy nigdy nie widział prawdziwej księżniczki, wyobrażał sobie jednak, że księżniczka zachowywałaby się właśnie tak jak Julie. Miała włosy ciemnoblond, z platynowymi pasemkami, a ubierała się z wyszukaną niedbałością osoby, którą stać na wszelkie kreacje, ale która nie przywiązuje wagi do tego, co akurat ma na sobie.

Była drobna i delikatna, ale Billy zaczynał od niedawna podejrzewać, że w tym wypadku pozory mylą. Miał wrażenie, że w tym wypadku kruche ciało kryje w sobie niezły charakter.

Z jakiejś przyczyny Julie wolała mieszkać w pawilonie dla gości, a nie w głównej rodzinnej rezydencji, Billy miał kłopoty z określeniem jej osobowości i charakteru, mimo że na ogół poznawał się na ludziach dość szybko i bezbłędnie przewidywał, jak się zachowają w rozmaitych sytuacjach.

Julie Roper była jednak dla niego zagadką. Bieganie po piasku zupełnie nie pasowało mu do obrazu dziedziczki wielomilionowej fortuny. Poza tym, dlaczego taka ładna dziewczyna właściwie stroniła od mężczyzn? Spotykała się tylko od czasu do czasu z pewnym krępy facetem przypominającym z postury oficera marynarki. Żadnych

pieszczot ani pocałunków, czasem tylko kordialny uścisk na pożegnanie.

Ale o wilku mowa...

Billy zerwał się z łóżka, widząc na monitorze, że Julie wychodzi właśnie z pałacu, który Billy na swój użytek nazwał Hiltonem w Palm Beach. Miała na sobie krótką białą sukienkę wyszywaną cekinami; skierowała się w stronę swego domku w ogrodzie. Szła powoli, z opuszczoną głową, sprawiając wrażenie przygnębionej i bezbronnej, jak mały jasnowłosy anioł zabłąkany wśród bujnej, tropikalnej roślinności tego ogrodu.

Billy przez cały czas obserwował Julie na monitorach. Po chwili doszła do wejścia swego pawilonu, wcisnęła szyfr przy drzwiach i znikła w środku. Czuł jednak, że coś wisi w powietrzu i nie spuszczał oczu z monitorów. To właśnie dzięki swojej intuicji przetrwał żywy i praktycznie bez większego uszczerbku te osiem lat pracy w komórce do walki z gangami w Oakland. Z tych czasów pozostały mu na plecach trzy blizny po ranach postrzałowych. Inna blizna, na brzuchu, była pamiątką po ciosie nożem, jaki kiedyś otrzymał.

Po trzecim z kolei pobycie w szpitalu przyznano mu medal za odwagę i został przeniesiony z pracy w tajnej policji na wczesną emeryturę. Właściwie wcale go to nie zmartwiło; zdawał sobie sprawę, że od pewnego czasu igrał z losem i jego życie ciągle wisiało na włosku. Poza tym miał w planie założenie własnej agencji ochrony. Czuwanie nad bezpieczeństwem cierpiących na manię prześladowczą bogaczy łączyło się z małym ryzykiem w porównaniu z jego dotychczasową pracą.

W oknach widać było przesuwaną się tu i tam cień Julie. W pewnym momencie jej ruchy stały się bardziej celowe, jakby nagle wpadła na pomysł, co musi zrobić. Billy, nie zwlekając ani chwili, zaczął wkładać na siebie koszulę i buty.

Co ty robisz, siostrzyczko? pytał ją w duchu, ale już po chwili otrzymał odpowiedź. Drzwi garażu otworzyły się i z piskiem opon wytoczył się z niego porsche Julie, po czym natychmiast zaczął nabierać prędkości. Dziewczyna najwyraźniej śpieszyła się i tym razem nie wyglądało, aby miał to być tylko wypad na plażę.

Billy zdążył tylko chwycić portfel oraz telefon komórkowy i rzucił się w pogoń. Zdawał sobie sprawę, że w wypożyczonym gruchocie trudno mu będzie nadażyć za porsche. Nie miał już czasu wypełnić pierwszego przykazania Harrisa Ropera, zgodnie z którym miał go informować natychmiast, gdy tylko się zorientuje, że coś niezwykłego dzieje się z jego siostrą.

Dla Julie ten wieczór zaczął się jak wiele innych nudnych spotkań towarzyskich. Harris wydał przyjęcie, na które zaprosił swoich nielicznych znajomych, godnych, jego zdaniem, być towarzystwem dla Julie. Harris miał pod tym względem bardzo wysokie wymagania, a jego znajomi nie byli na ogół zbyt towarzyscy. Wszyscy oni jednak potrafili prześledzić swoją genealogię wstecz, aż do czasów przybycia „Mayflower” do Massachusetts i wszyscy co do jednego znajdowali się na liście pięciuset najbogatszych osób w kraju.

Przyjęcie okazało się, jak zwykle, niezbyt udane. Panie zasiadły na sofie, panowie w smokingach skupili się zaś wokół baru w pokoju lustrzanym i dyskretnie podziwiali swoje odbicia w lustrze. Jedyne wyjątek stanowił tu Beauregard James Farquhar III, dziedzic fortuny z Palm Beach, nie odstępujący Julie przez cały wieczór. Od dawna był on przyjacielem rodziny, a Harris darzył go szacunkiem ze względu na jego rozwagę w sprawach finansowych, nieskazitelne maniery i łagodne usposobienie. Wyglądał jak prawdziwy tenisista, opalony, o kwadratowej twarzy i włosach równiutko obciętych na jeża, co, zdaniem Julie, upodabniało

go do Teda Kennedy'ego. Beau wrócił właśnie tego dnia z podnóży po Europie, w czasie której, tak na oko, przybyło mu z pięć kilo. Raz po raz wyrażał swoją „szaloną radość”, że ma okazję znów widzieć Julie. Tę radość wyrażał zresztą przy każdym spotkaniu, jak daleko Julie sięgała pamięcią. Był jej bezgranicznie oddany już od chwili, gdy skończyła osiemnaście lat. Do czasu, kiedy parę miesięcy temu wróciła z college'u, udawało jej się trzymać go od siebie na dystans; był jej całkowicie posłuszny, gotów biec na każde jej skinienie, jak pies czy kot. Julie miała jednak świadomość, że może oczekiwać jego oświadczeń i że jest to tylko kwestia czasu. Teraz z przerażeniem myślała o swoich dwudziestych trzecich urodzinach, Beau dał jej bowiem wyraźnie do zrozumienia, że będzie to dzień absolutnie wyjątkowy i zapytał przy tym o rozmiar noszonych przez nią pierścionków. Od tej pory Julie nie mogła znaleźć sobie miejsca, bo dręczył ją nieustanny niepokój.

Mimo że było dopiero przed dziesiątą, Julie miała wrażenie, że zaraz uśnie. Pianista zaangażowany przez jej brata grał jakiś sentymentalny kawałek, a Beau, siedzący tuż obok, zanudzał ją opowieściami o swojej podróży i o interesach. W pewnym momencie uznała, że dłużej tego nie wytrzyma i pod pretekstem, że boli ją głowa, dyskretnie wymknęła się z przyjęcia.

Senność opuściła ją natychmiast po wyjściu z pałacu, kiedy przez ogród szła w kierunku swego pawilonu. Nareszcie była wolna i postanowiła przejechać się samochodem, zanim pójdzie spać. Nie zdjęła nawet wieczorowej sukienki, zmieniła tylko pantofle na obcasach na tenisówki, co stanowiło w efekcie dość zabawne zestawienie, Julie jednak nie zamierzała się w tym stroju nikomu pokazywać. Harris nie będzie pewnie nawet wiedział, że wyjeżdżała poza teren posiadłości.

Prowadziła samochód, nie zastanawiając się, dokąd jedzie, upajając się pędem powietrza, chłodzącego jej rozpalone policzki, i myśląc, w jak dziwnym środowisku przyszło jej żyć. Od czasu do czasu zmuszona była spotykać się ze śmietanką towarzyską Palm Beach, lecz zawsze wśród tych ludzi czuła się obco. Pół roku temu zakończyła edukację w renomowanym żeńskim college'u i od tej pory Harris nie bardzo wiedział, co ma z nią robić. Zdążyła podjąć dwie próby pracy, które potrwały odpowiednio cztery tygodnie i cztery dni. Za pierwszym razem uległa bratu i zgodziła się przyjąć stanowisko w zarządzie spółki Roper, wykonując jakąś zupełnie symboliczną pracę za nieprzyzwoicie wielkie pieniądze. Do pracy jeździła z Harrisem, lunch jadła z Harrisem i do domu też wracała z Harrisem. Po czterech tygodniach była już tym śmiertelnie znudzona i oświadczyła bratu, że zdecydowanie nie to jest jej przeznaczeniem. Sama znalazła sobie pracę w niezwykle ekskluzywnym butik, traktując to jako zajęcie tymczasowe, dopóki nie zdecyduje, co dalej robić ze swoim życiem. Rzeczywiście nie trwało to długo; wystarczyły cztery dni, by miała całkiem dość zblazowanej klienteli i monotonii wykonywanego zajęcia. Tym sposobem stała się „bezrobotna na własne życzenie”. Harris coraz bardziej martwił się o jej przyszłość i wcale tego nie krył. Był dobry i troskliwy, lecz, niestety, wciąż się czymś zamartwiał. Julie miała siedem lat, a Harris dwadzieścia jeden, kiedy ich rodzice zginęli w wypadku. Julie często o nich myślała, pozostali w jej pamięci jako radosna, kochająca się para, ludzie pogodni, spontaniczni, pełni radości życia. Nie miała pojęcia, jak to się mogło stać, że ich dzieci wyrosły na takich dziwaków jak ona i Harris.

Przez ostatnie szesnaście lat Harris opiekował się nią jak mógł najlepiej, jednak odpowiedzialność, jaką na sobie dźwigał, trochę go przytłaczała. Zarówno opieka nad siostrą,

jak i zarządzanie rodzinnym majątkiem powoli zaczęły się stawać jego obsesją. Julie uświadomiła to sobie dopiero niedawno, kiedy wróciła do domu po ukończeniu college'u. Harris wyglądał na znacznie więcej niż swoje trzydzieści siedem lat, był zmęczony, przygarbiony i blady. Julie starała się go przekonać, że jest już dorosła i nie musi się o nią tak troszczyć, lecz Harris wciąż się zamartwiał, kiedy chodziło o jej dobro i bezpieczeństwo. Ta nieustanna opieka zatruwała jej życie i sprawiała, że w czterdziestopokojowym pałacu Julie miała wrażenie, że się dusi. Minęły jednak całe miesiące, zanim zdołała przekonać Harrisa, by zgodził się, żeby zamieszkała w pawilonie gościnnym. Przeniosła się tam zaledwie dwa tygodnie temu. To zwycięstwo dało jej nadzieję, że być może przyjdzie dzień, kiedy zdoła wyprowadzić się poza granice rodzinnej posiadłości.

Cieszyła się tym, dopóki Beau nie zapowiedział ważnego przełomu w jej życiu, a jaki to miał być przełom, mogła się łatwo domyślić. Drżała na myśl o pytaniu, które Beau jej zada i o decydującej odpowiedzi, której ona będzie musiała udzielić.

Nie wiedząc, w jaki sposób pozbyć się Beau, zwróciła się do brata, u którego jednak zupełnie nie znalazła zrozumienia. Chociaż nie podniósł na nią głosu, to jednak był wyraźnie zdenerwowany; zarzucił jej, że na nic ani na nikogo nie może się zdecydować i zachowuje się jak nieodpowiedzialna nastolatka. Nic lepszego niż małżeństwo z Beau nie mogło jej przecież spotkać. Trudno byłoby znaleźć kogoś solidniejszego i bardziej jej oddanego niż on. Nie przeżyje przecież całego życia sama, fruując jak motylek z kwiatka na kwiatek i najwyższa już pora, żeby zadecydowała o swoim dalszym życiu.

No, rzeczywiście, dlaczego nie miałyby to być Beau? Julie widziała w marzeniach niejasny obraz mężczyzny swojego

życia, który mocno się od niego różnił i budził w niej jakiś nieznany dreszcz.

Rozsądek podpowiadał jej oczywiście, że Beau będzie dla niej zawsze dobry, a jego bezgraniczne oddanie nie ulega wątpliwości; był przecież spokojny, zrównoważony, wytrwały. Poza tym Harris martwił się o jej los już zbyt długo i chyba życzył sobie, żeby Julie zawarła ten związek, który zapewni jej bezpieczną przyszłość.

Co do Julie, to nie zależało jej specjalnie ani na wyjściu za mąż, ani na tym, żeby zachować wolność. Fakt, że tak wcześnie utraciła oboje rodziców, w pewien sposób okaleczył ją emocjonalnie. Podświadomie obawiała się głębszych relacji uczuciowych, które zawsze przecież niosą ze sobą ryzyko. Właściwie kimś stałym w jej życiu był jedynie Harris; którego bardzo kochała i którego nie chciałyby zawieść.

I wtedy z pełną ostrością uświadomiła sobie, że prawdopodobieństwo, aby zdołała zakochać się po uszy w kimś jest bardzo małe; znała siebie i wiedziała, że nie potrafi się tak zaangażować. Beau zaś był porządnym człowiekiem, który dobrze ją znał i niewiele od niej oczekiwał. Skoro Harris uważa, że małżeństwo z nim będzie dla niej dobre, to na pewno ma rację. W końcu zawsze miał jej dobro na uwadze, może więc powinna mu zaufać. Poza tym powinna pomyśleć i o nim samym; gdyby jej przyszłość była zabezpieczona, może jej brat także mógłby ułożyć sobie życie. Harris o sobie myślał zawsze w drugiej kolejności, a przecież zasługiwał na coś więcej niż na spełnianie roli jej opiekuna do końca życia.

Julie jechała przez ponad godzinę, nie myśląc, dokąd jedzie. Chciała tylko wyrwać się z domu. Po pewnym czasie zostawiła za sobą światła miasta i znalazła się na wąskiej dwupasmówce, wysadzonej po obu stronach cyprysami. Było na tyle ciemno, że prócz gęsto rosnących drzew, nic prawie wokół siebie nie widziała. Powietrze zrobiło się duszne i

wilgotne, jak na bagnach. Nigdy jeszcze nie była na bagnach, natychmiast jednak przypomniała sobie o aligatorach i poczuła, że ogarnia ją przerażenie. Bała się panicznie wszystkich zwierząt, które miały zęby.

Julie nie miała zwyczaju sprawdzać wskaźnika benzyny w samochodzie, bo zawsze robił to ktoś ze służby - niewidzialnej i wszechobecnej. Na ogół Harris namawiał ją, by korzystała z jego samochodu z szoferem. Kiedy jednak używała swojego auta, było ono zawsze przygotowane, lśniące, z bakiem pełnym benzyny. Nie musiała martwić się o cokolwiek.

Tymczasem porsche zakasłał, zawarczał i zaczął gwałtownie zwalniać. Julie zdążyła jeszcze zjechać na pobocze, zanim stanął na dobre. Gałęzie cyprysu zaszurały złowieszczo o szybę, jakby ktoś koniecznie chciał dostać się do środka samochodu. Przerażona, natychmiast zamknęła szczelnie okno i zapięła pas, jakby w tej sytuacji mogło to cokolwiek pomóc. Oprócz aligatorów, oczyma wyobraźni widziała teraz wiele innych strasznych zwierząt, takich jak węże, pająki i jakieś nieznanne zielone i oślizgłe potwory. Panicznie bała się ciemności, lecz coś jej mówiło, że nie jest dobrze mieć włączone światła, kiedy samochód stoi na poboczu drogi. Zapaliła światło w środku i gorączkowo zaczęła się zastanawiać, jakby tu zapalić światła awaryjne. Mimo że bardzo się starała, zdołała jedynie uruchomić wycieraczki.

Zastanawiała się, co prawdziwa bohaterka dramatu zrobiłaby na jej miejscu, ale doszła do wniosku, że przede wszystkim miałyby dość oleju w głowie, żeby uzupełnić paliwo przed wyjazdem z domu. Mogłaby, oczywiście, zatelefonować do Harrisa, gdyby nie to, że nie wzięła ze sobą telefonu. Nerwowo stuknęła elegancko wymanikiowanymi paznokietkami w kierownicę. Co tu robić, co tu robić?

W tym momencie, nie wiadomo skąd, pojawił się jakiś samochód, który zahamował gwałtownie tuż przy niej. Kierowca pozostawał w cieniu, Julie miała jednak wrażenie, że jest dobrze zbudowany i ma brodę. Gestem polecił jej, by opuściła szybę. Kiedy nie reagowała, rozłożył ręce w geście bezradności, jakby mówił, że w takim razie nie jest w stanie nic jej pomóc.

Jej myśli galopowały jak oszalałe, czuła, że jej koniec się zbliża i że dni miną, zanim ktoś znajdzie jej ciało porzucone gdzieś przy drodze. Na pewno do tej pory aligatory, gorąco i wilgoć zrobią swoje, więc na pogrzebie będzie wyglądała strasznie. I co to będzie za wstrząs dla Harrisa! Do końca życia będzie sobie wyrzucał, że pozwolił jej mieszkać oddzielnie, i nigdy nie zdoła sobie odpowiedzieć, czego jego siostra szukała sama po nocy w tej niebezpiecznej okolicy?

Z tych przerażających rozmyślań wyrwało Julie stukanie w okno; drgnęła jak oparzona na widok mężczyzny, który teraz przypatrywał jej się przez szybę. Był wielki, zarośnięty i wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Zauważyła, że miał na sobie poplamiony biały T-shirt.

Jej panika rosła z sekundy na sekundę. Może i nie miała zbyt wiele doświadczenia w kontaktach z mężczyznami, wiedziała jednak, że taki drab tu na pustkowiu to dla niej raczej wątpliwy wybawiciel.

- Potrzebuje pani pomocy?! - krzyknął do niej. Julie pokręciła głową przecząco.

- A może podwieźć? Zaprzeczyła energicznie.

W tym momencie mężczyzna zrezygnował z pozorów uprzejmości i zaczął dobierać się do drzwiczek porsche od jej strony. Julie była prawie sparaliżowana ze strachu, nie była w stanie krzyczeć, jedyny dźwięk, jaki wydobył się z jej gardła, przypominał raczej czkawkę. Zamiast tego zdołała nacisnąć klakson.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że jakiś drugi samochód zatrzymał się tuż za nią. Zastanawiała się, czy to możliwe, aby obaj ci mężczyźni mieli wobec niej złe zamiary. Czyżby czatowali tu gdzieś, zaczajeni na naiwne dziewczyny, którym akurat zabraknie paliwa? A może w okolicy odbywa się właśnie jakiś zlot bandytów napadających na samochody?

Wydarzenia zaczęły się teraz toczyć błyskawicznie, jak w przyspieszonym filmie. Drugi kierowca, nie gasząc silnika ani świateł, wysiadł z samochodu i powiedział coś do osobnika w brudnym T-shircie, Julie nie słyszała jednak co, bo wciąż przyciskała klakson. Potem nastąpiła krótka szarpanina, jakaś pięść uniosła się w górę i opadła, po czym brodaty napastnik zniknął z jej pola widzenia.

Do okna porsche zajrzał teraz mężczyzna w kwiecistej koszuli i Julie pomyślała, że tym razem szczęście się do niej uśmiechnęło. Miał dość długie ciemne włosy, koloru oczu nie mogła rozpoznać, lecz zdawało jej się, że patrzy na nią jakby z pewnym rozbawieniem.

Powiedział coś do niej i z ruchu jego warg odgadła, że chodzi mu o to, żeby wreszcie wyłączyła klakson.

Julie, nie wiedząc sama, czemu, zastosowała się do jego polecenia.

Uśmiechnął się do niej, demonstrując przy tym piękne białe zęby, kontrastujące z jego ciemną opalenizną. Miał męskie surowe rysy, lecz ten uśmiech wydobył z niego jakiś ciepły, chłopięcy wdzięk. Julie poczuła się na tyle bezpieczna, że opuściła odrobinę szybę.

- Wygląda na to, że wpakowała się pani w niezłe tarapaty - stwierdził.

Julie wyciągnęła szyję, chcąc zobaczyć, co się stało z brodaczem.

- Czy pan go zabił? - wyszeptała ze zgrozą.

- Dlaczego, u diabła, miałem go zabijać? - Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego. - Przecież nawet go nie znam. Proszę się nie obrazić, ale nie mam ochoty iść do kryminału za zabójstwo zwykłego natręta.

- Pobił go pan do nieprzytomności?

- Czy nikt nigdy pani nie mówił, że jest pani trochę egzaltowana? Ten facet powiedział, że najlepiej dla mnie będzie, jeśli zaraz pojedę dalej, a ja odpowiedziałem, że nie mam zamiaru, i tylko raz go uderzyłem. Teraz śpi sobie tu na drodze. Nic mu nie będzie. No, może obudzi się z podbitym okiem, nic więcej. A co pani porabia tu w środku nocy, jeśli można zapytać?

- Siedzę tak, bo zepsuł mi się samochód. - Julie opuściła okno jeszcze trochę niżej.

- Co to znaczy: zepsuł się?

- Skończyło się paliwo.

- Aha - mężczyzna uśmiechnął się pod nosem. - Więc jak mogę pani pomóc?

- Hmm - Julie szybko rozważała wszystkie możliwości i ich za i przeciw. - Czy wie pan może, gdzie jesteśmy?

Przygryzł wargi, żeby się nie roześmiać.

- Na Florydzie, jakieś dwie godziny jazdy na północ od wybrzeża - rzekł.

- Wiem, że na Florydzie! Za kogo pan mnie ma? Pytałam tylko, czy w pobliżu jest może jakieś miasto, gdzie mogłabym kupić benzynę.

- Jestem turystą i tyle samo wiem na ten temat co pani. Chętnie jednak podwiozę panią do stacji benzynowej.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł - odpowiedziała nerwowo. - Powinnam sama jakoś dać sobie radę. - Tylko że „powinnam” znaczyło jednak niezupełnie to samo, co „mogłabym”.

- Jak pani sobie życzy. - Mężczyzna wzruszył ramionami.
- Tylko że to chyba nie jest bardzo uczęszczana szosa, szczególnie w nocy, i radziłbym pani zamknąć szczelnie okno, zwłaszcza kiedy tamten koleś się ocknie. Do widzenia.

- Niech pan zaczeka! - Perspektywa, że zostanie tu sama, przerażała Julie. - Może jednak skorzystam z pana propozycji, jeśli to nie będzie dla pana duży kłopot.

- To żaden kłopot - mężczyzna wsunął dłoń przez szczelinę opuszczonego okna i przedstawił się: - Jestem Billy.

- Julie - odpowiedziała, za jego przykładem nie wymieniając nazwiska. Z wahaniem ujęła w dłoń końce jego palców i dodała: - Bardzo mi miło.

W tym momencie Billy nie wytrzymał i parsknął głośnym śmiechem.

- Ależ masz światowe maniery. A czy ktoś mówił ci kiedyś, że przypominasz Grace Kelly? Nawet głos masz podobny.

- To dobrze?

- Jeśli ktoś lubi Grace Kelly, to dobrze. Ja osobiście ją kiedyś uwielbiałem, - Cofnął się trochę i stojąc z rękami w kieszeniach, przyglądał się Julie. - Nie chciałbym cię przerażać, ale jeśli mamy jechać po benzynę, to będziesz jednak musiała wysiąść ze swojego samochodu.

- A może zostanę tutaj, a ty przywiózłbyś mi trochę paliwa? Billy westchnął i z tylnej kieszeni spodni wyjął portfel.

Otworzył go i mignął Julie przed oczami swoją starą odznaką policyjną. Ponieważ od pewnego czasu nie pracował już w policji, nie wolno mu było tego robić, on jednak nie zamierzał się tym teraz przejmować.

- Masz przed sobą przedstawiciela prawa, jesteś więc absolutnie bezpieczna. Zazwyczaj moim zadaniem jest strzec bezpieczeństwa mieszkańców Kalifornii, teraz, co prawda,

mam wakacje, ale przecież mieszkanie Florydy też nie zrobię krzywdy, prawda? Tylko pośpieszmy się trochę, bo inaczej komary zjedzą mnie tu żywcem.

Julie pierwszy raz w życiu poznała osobiście prawdziwego policjanta. Pracownicy ochrony, których zatrudniał jej brat, byli nawet mili, ale to nie to samo. Natychmiast wyobraziła sobie niebezpieczne sytuacje, pogonie i zasadzki, w których Billy musiał brać udział. Jakie to niezwykle!

- Czy strzelasz do ludzi? - zapytała z przejęciem.

- Tylko do tych niedobrych, którzy pierwsi strzelają do mnie - odparł Billy z powagą.

- A gdzie masz broń?

Było to podchwytliwe pytanie.

- Teraz mam wakacje - powiedział w końcu. - A poza tym jak wyglądałaby kabura pistoletu przy takiej koszuli?

Wyglądało na to, że Julie przyjęła tę odpowiedź za dobrą monetę, bo nie zadawała dalszych pytań. Zgasiła lampkę w samochodzie i otworzyła drzwi, chcąc wysiąść.

- Chwileczkę! - Billy powstrzymał ją na moment, żeby odciągnąć nieprzytomnego brodatego zbira, który leżał tuż przy jej aucie. Potem z uśmiechem zwrócił się do niej - Teraz już proszę, królewno. Karetka czeka.

Nikt nigdy nie mówił jeszcze do niej „królewno” i Julie bardzo się to spodobało. Sam Billy zresztą też; gdyby się nawet starała, to nie wymyśliłaby sobie takiego bohatera - supermana, przedstawiciela władzy i prawa. Ten dzielny macho stoczył już o nią walkę, a poza tym był przystojny i czarujący. Lęk, w jakim trwała do tej pory, znikł zupełnie i zastąpiło go przyjemne podniecenie.

Wysiadła z samochodu i tylko przelotnie zerknęła na leżącą postać nieprzytomnego draba.

- Czy powiadomisz o tym swoich przełożonych? - zapytała.

- Oczywiście, najszybciej jak się da; to mój obowiązek - odpowiedział, myśląc o Harrisie Roperze. W pogoni za Julie bezskutecznie usiłował połączyć się z nim za pomocą telefonu komórkowego. Baterie były jednak wyczerpane i nie pozostało mu nic innego, jak skorzystać z automatu, jeśli go gdzieś napotka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przy bliższym poznaniu Julie Roper okazała się wystrzałową młodą osobką, jedyną w swoim rodzaju, co jeszcze podkreślał jej absurdalny strój, wieczorowa suknia szyta na miarę plus tenisówki.

Wbrew temu, jak Billy wyobrażał sobie młodą dziedziczkę milionowej fortuny, nie była ona ani chłodna, ani zapatrzona w siebie czy rozkapryszona. Gadała przez cały czas jak nakrecona i zadawała mu dziesiątki pytań.

Czy lubi swoją pracę?

Czy nie boi się niebezpieczeństwa?

Ile razy do kogoś strzelał?

Billy wykręcał się, jak mógł, ale Julie domagała się szczegółów, bo jego praca wydawała jej się fascynująca.

- Nie chcę nawet o tym myśleć, bo to wywołuje we mnie straszne wspomnienia. - To też było wyssane z palca, bo w rzeczywistości był dość dumny ze swych obrażeń odniesionych w walkach z przestępcami, a trzy kulki, które chirurdzy mu wyjęli, przechowywał pieczołowicie w puszcze po orzeszkach.

Teraz zaczynał pojmować, że Julie Roper nie da się zbyć byle czym i że żądza przygody zaczyna brać w niej teraz górę nad wszystkimi innymi odczuciami.

Julie była urzekająco świeża i autentyczna, wpatrywała się w niego swymi błyszczącymi piwnymi oczami, a, mówiąc, gestykulowała z przejęciem. Była kobietą i dzieckiem w jednej osobie.

Mimo całego swego doświadczenia, Billy nigdy jeszcze nie spotkał dziewczyny podobnej do niej. Zaczął się trochę niepokoić.

- Czy nie powinnaś zadzwonić do domu? - zapytał nagle.
- Może ktoś się o ciebie martwi i nie wie, co się z tobą dzieje?

- Raczej nie - Julie potrząsnęła głową. - Na wszelki wypadek zostawiłam mu wiadomość, że muszę wyrwać się z domu na jakieś dwie godziny i że wszystko w porządku.

- Mówisz o mężu?

- Nie. Chodzi o Harrisa, mojego brata; jest nas tylko dwoje. Mieszkamy razem.

- No to pewnie będzie odchodził od zmysłów, jak zobaczy, że cię nie ma. Dawno temu wyjechałaś z domu?

- Nie wiem. Jakieś dwie, trzy godziny temu. - Julie wzruszyła ramionami.

- I przez ten czas zdążyłaś już utknąć na szosie z powodu braku paliwa, zaatakował cię pijak i do tego zmuszona byłaś wsiąść do samochodu zupełnie obcego mężczyzny. Całkiem nieźle.

- Zgodziłam się jechać z tobą, bo jesteś policjantem - tłumaczyła się.

- Wszystko jedno! Chcę tylko powiedzieć, że jeśli tyle zdążyło ci się przydarzyć przez te kilka godzin, to co by było przez kilka dni? Aż strach pomyśleć. Ale chyba niezbyt często wrywasz się z domu tak jak dziś?

- A może co tydzień tak sobie jeżdżę? Skąd wiesz?

- Gdybyś co tydzień robiła takie wypadki, to pamiętałabyś, żeby sprawdzić zapas paliwa. Wiedziałaabyś też, gdzie jesteś i dokąd jedziesz.

Julie odpowiedziała po chwili zastanowienia. - Wszystko mi jedno, co sobie o mnie pomyślisz, ale zgadłeś. To był taki impuls. Ale, póki co, wszystko na dobre się obraca.

- Chyba żartujesz! - Billy nie wierzył własnym uszom.

- No, przecież spotkałam ciebie i jesteś niewątpliwie najciekawszym człowiekiem, jakiego znam - przy tym wyznaniu lekko się zaczerwieniła.

- Chyba dlatego, że rzadko ruszasz się z domu. I to jest też pewnie powód, że brat może się o ciebie martwić. Czy jesteście sobie bardzo bliscy?

- I tak, i nie. Kochamy się nawzajem, ale żadne nie jest szczególnie zadowolone ze swojego życia. Harris zbyt długo spełniał rolę mojego ojca i już chyba jest tym zmęczony. Ja robię przeważnie to, co on mi każe, żeby go niepotrzebnie nie martwić.

- Robisz to, co ci każe? Więc pewnie to on kazał ci przejechać w środku nocy pół Florydy?

- Bardzo śmieszne. Mała przejażdżka to chyba jeszcze nie przestępstwo.

- Wątpię, żeby on podzielał tę opinię.

- Póki co, jakoś sobie radzę. Ale wiesz co? Zaczynasz mówić prawie jak mój brat. Chciałabym, żebyście się poznali.

Już mieliśmy tę przyjemność, pomyślał Billy i skoncentrował się na obserwowaniu drogi. Ta mała, zupełnie nieświadomie, robiła z nim coś dziwnego. A przecież wiedział z doświadczenia, że nie należy mieszać przyjemności z interesami. Julie to były interesy, praca, obowiązek...

Wbrew tej konkluzji uśmiechnął się i znów ukradkiem zerknął na Julie. Wzruszały go jej dziecinne policzki, pełne wargi, jej delikatny zapach wypełniający teraz samochód jak muzyka. Billy czuł, że krew zaczyna krążyć w nim szybciej.

- Cholera jasna - mruknął pod nosem.

Julie przestała na moment patrzeć w księżyc za oknem i lekko drgnęła. Nie wiedziała, o co mu chodzi.

- Coś się stało?

- Nie, nic.

Julie przymknęła oczy, widać było, że ostatnie przeżycia bardzo ją wyczerpały i z trudem walczy z sennością. Nie była przyzwyczajona do tak mocnych wrażeń. Ziewnęła, elegancko przysłaniając usta dłonią.

- Ty pewnie... żałujesz... że masz ze mną tyle kłopotu... - mruknęła. Nie dokończyła, głowa jej opadła i po chwili Billy zobaczył, że usnęła. Z włosami rozrzuconymi na oparciu siedzenia wyglądała jak uśpiony anioł.

Patrzył na nią z nieznanym mu dotąd wzruszeniem.

- Oj, chyba nie żałuję! - szepnął sam do siebie.

Obudziła ją głośna, dudniąca muzyka. Byli na stacji benzynowej, połączonej z parkingiem dla ciężarówek. Billy podjechał pod dystrybutor paliwa, po drugiej stronie zatrzymała się jakaś toyota.

Julie otworzyła oczy, zamrugła powiekami i ze zdziwieniem rozejrzała się dookoła. - Czy długo spałam? - zapytała jak Królowna Śnieżka budząca się ze snu. - Gdzie jesteśmy?

- Spałaś ponad godzinę, a co do tego, gdzie jesteśmy, to wiedz, że nie mam najmniejszego pojęcia. Mamy szczęście, że trafiliśmy na stację benzynową otwartą o tej porze. Mój gruchot też był już prawie bez paliwa.

Z ulgą zauważył, że w pawilonie stacji jest automat telefoniczny. Bardzo mu zależało, żeby zadzwonić nareszcie do Harrisa i uspokoić go, że siostrze nic się nie stało. Tylko, oczywiście, Julie nie miała prawa wiedzieć o tej rozmowie.

- Hej, muszę iść do toalety - poinformował ją. - Może napełniłabyś przez ten czas bak? A ja spróbuję na stacji pożyczyć kanister.

Odszedł tak szybko, że Julie nie zdążyła powiedzieć: Jeszcze nigdy sama nie napełniałam baku, co przecież było prawdą.

Ale właściwie dlaczego nie miałyby spróbować? To przecież chyba nie może być trudne? Wysiadła z samochodu i aż się wzdrygnęła, bo fala hałaśliwej muzyki, dobiegającej ze stojącej tuż obok toyoty, uderzyła w nią z całą siłą. Dziś jednak wszystko, co jej się przydarzało, traktowała jako nowe,

cenne doświadczenie. Chłopak z toyoty otworzył bak samochodu i wetknął do środka końcówkę węża z paliwem. Proszę bardzo, to żadna sztuka!

- Hej mała, masz jakiś problem? - zagadnął ją bezceremonialnie, widząc, że nie może sobie poradzić; zakrętka do baku jakoś za nic nie dawała się odkręcić. - Czy ty nigdy w życiu nie tankowałaś? Czyżbyś nie wiedziała, jak to się robi?

- Przypuśćmy, że nie wiem - odpowiedziała Julie uczciwie. - Mógłbyś mi pokazać, jak to się robi?

- Pokażę ci wszystko, co tylko sobie życzysz. - Objął ją ramieniem i pokazał jej, jak specjalną dźwigienką odbezpiecza się bak, potem już tylko trzeba odkręcić nakrętkę, wsadzić wąż z paliwem i tyle. W jego wykonaniu okazało się to śmiesznie proste.

- Jak masz na imię? - zapytał.

- Julie.

- A ja Jeff.

- Ta benzyna się nie przeleje?

- Nie, nie przeleje się. Powiedz mi, kociaczku, kto cię wypuścił z domu samą w środku nocy?

- Nie jestem żadnym kociaczkiem. Do widzenia, Jeff.

- Ej, malutka, a nie jesteś mi przypadkiem coś winna za pomoc? Masz telefon? - Chłopak ścisnął ją mocno za ramię.

- Każdy ma telefon - prychnęła Julie ze złością, starając mu się wyrwać.

- Jest szansa, że podasz mi swój numer?

- Taka sama, jak to, że cię zaadoptuję. Do widzenia, Jeff.

- Nie chcesz się ze mną spotkać?

- Nie - odparła Julie całkiem szczerze i dodała pocieszająco - ale na pewno zawsze będę cię miło wspominać.

- Twoja strata, kociaczku!

- Zaraz zobaczymy, czyja strata - odezwał się tuż obok niski głos Billy'ego. Julie wcale nie słyszała, jak nadchodził.

- Bo nie chciałbyś, na przykład, stracić zębów, co, koleś?

- powiedział to takim tonem, że Julie na wszelki wypadek stanęła pomiędzy nimi dwoma, żeby ich rozdzielić.

- Przestań! Nic się nie stało! On pokazywał mi tylko, jak się tankuje - starała się załagodzić sprawę.

- Wszystko jedno - warknął Billy takim głosem, że aż mróz przeszedł Julie po kościach.

- Hej, proszę pana, ona nie umiała sama dać sobie rady!

- Chłopak miał dość niepewną minę i wycofywał się do swojego samochodu. - Nie wiedziała, jak się tankuje. Proszę, niech ją pan sam o to zapyta.

Billy uniósł brwi i pytająco spojrzął na Julie, która kiwnęła głową.

- Dobra, to spadaj! - mruknął do chłopaka, któremu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

- Naprawdę nie umiałaś napełnić baku? - Billy nie mógł w to uwierzyć.

- Naprawdę, przecież inaczej nie zawracałabym temu chłopakowi głowy. Niepotrzebnie tak go nastraszyłeś.

- Niepotrzebnie? Julie, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że sama pchasz się w kłopoty? Nie wiesz, że nie powinnaś rozmawiać z obcymi?

- Z jakimi obcymi? Ja nie znam żadnych obcych!

- Julie, ten chłopak to był właśnie obcy, pijak, który chciał ci się dostać do samochodu, był obcy i ja też jestem obcy, do diabła! Nie powinnaś rozmawiać z żadnym z nas. - Billy czuł, że trochę puszczają mu nerwy. Pożyczył na stacji jakiś pogięty stary kanister, a ledwie zdołał dodzwonić się do Harrisa, zobaczył Julie w kolejnej niebezpiecznej sytuacji, więc zamiast rozmawiać, odwiesił słuchawkę i natychmiast rzucił jej się na ratunek.

- Ty jesteś policjantem, więc nie mam się czego bać. - Jej naiwność nic miała granic.

- A jeśli jestem złym policjantem? Nie przyszło ci to do głowy? Nie możesz ufać każdemu, kogo spotkasz, albo nigdy nie wrócisz do domu. Czy to do ciebie nie dociera? Ucz się na swoich błędach!

W tym momencie Julie poczuła, że dłużej tego nie wytrzyma; albo go uderzy, albo się rozpłacze. Dlaczego ją upokarzał? Jakie miał prawo na nią krzyczeć? Oczy wypełniły jej się łzami.

- Dlaczego tak mnie traktujesz? - zawołała. - I bez tego dość mam kłopotów. To, co się ze mną dzieje, to nie twój interes. Zawieź mnie tylko z powrotem do mojego samochodu i koniec.

- I wrócisz do domu?

- Jak będzie mi się chciało, to wrócę - odburknęła, nie zważając na jego surową minę. - A to może nastąpić za parę miesięcy!

Billy w myśli policzył do dziesięciu, po czym powiedział cicho, lecz stanowczo: - Wsiadaj do samochodu! Natychmiast!

- A jak nie wsiądę?

Podszedł do niej, pochylił głowę i wycedził dobitnie: - Wtedy stłukę cię na kwaśne jabłko!

- Nie odważyłbyś się.

- No, kochana, nie tobie sądzić, na co bym się odważył. - Stali tak przez kilka sekund, mierząc się wzrokiem, jakby oceniali nawzajem swoje siły.

I nagle stało się coś nieoczekiwanego, jakby przeskoczyła między nimi iskra elektryczna. Przez krótki moment Julie poczuła na swoich ustach dotyk jego ust, lekki jak muśnięcie, a jednak przenikający ją do głębi. Podświadomie czuła, że chce więcej.

Billy pierwszy cofnął się, otworzył drzwiczki samochodu i prawie siłą wepchnął ją do środka. Doskonale wiedział, co się z nią działo, nie tylko dlatego, że była zbyt niedoświadczona, aby to ukryć, lecz dlatego, że i on czuł to samo.

Więcej, więcej!

Jak na tyle emocji, jego praca zdecydowanie była zbyt nisko płatna!

Kiedy dotarli z powrotem do cyprysowej dżungli, gdzie Julie zostawiła swój samochód, okazało się, że, co prawda, bandzior zniknął, ale z nim zniknął również porsche.

- O Boże miłosierny! - jęknęła zrozpaczona Julie. - Czy... czy to możliwe, żebym... byłam tak roztrzęsiona, że...

- ...zostawiłaś kluczyki w samochodzie - dokończył Billy. Wyglądało na to, że jakiś worek nieszczęść rozsypał się dziś nad Julie, a przy okazji i nad nim. Gdyby Billy był bardziej uczuciowy, to pewnie uroniłby z tej okazji parę łez. Zauważył jednak tylko: - Może nikt ci o tym nie mówił, ale kiedy jeździ się takimi luksusowymi samochodami jak twój, to raczej nie należy zostawiać kluczyków w stacyjce.

- Nie jestem niedorozwinięta. Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło zostawić kluczyków. Tylko, że... tamten człowiek naprawdę wytrącił mnie z równowagi. - Zamilkła, bo zaczęło się jej zbierać na płacz. - Co jeszcze dzisiaj może mi się przydarzyć?

Mimo że sam nie całkiem jeszcze zdążył ochłonać, Billy nie mógł znieść wyrazu przygnębienia na jej dziecinnej twarzyczce.

- Popatrz na to z innej strony, malutka - próbował ją pocieszyć. - Facet zostawił ci w zamian swojego forda rocznik 1969. Możesz go sprzedać na części.

W odpowiedzi usłyszał głośne chlipnięcie.

- Nigdy dotąd nic takiego mi się nie zdarzało.

- A więc witaj w realnym świecie. No i co teraz?

Julie popatrzyła na niego i przygryzła usta. - No... może będę cię musiała poprosić, żebyś jeszcze raz mnie podwiózł...

- Podwieźć cię znowu? A dokąd?

- Tylko do najbliższego automatu telefonicznego - uspokoiła go. Moglibyśmy jechać w kierunku Palm Beach i zatrzymalibyśmy się przy pierwszej budce telefonicznej, jaką spotkamy. Zadzwoń tylko do Harrisa i... i już będziesz mógł jechać w swoją drogę.

Coś ścisnęło go za serce, kiedy to usłyszał, nic jednak nie dał po sobie poznać.

- Wiesz co? - rzekł. - Czuję się teraz trochę, jak w koszmarnym śnie, z którego nie mogę się obudzić. Ty przypominasz małe tornado, które gdzie tylko się pojawi, sieje zniszczenie. Naprawdę żał mi twojego biednego brata.

- Mój biedny brat pewnie nawet nie wie, że nie ma mnie w domu. - Bródka Julie lekko zadrżała. - A poza tym, przecież nie musisz mnie obrażać. Każdy ma jakąś specjalność, w której jest mistrzem.

- Tak, tak - zauważył Billy z lekką ironią - odniosłem wrażenie, że jesteś dość zależna od innych ludzi, ale mogłem się mylić. Więc twoja specjalność to...

Julie zastanowiła się. Co mu miała odpowiedzieć? Że świetnie umie wypisywać czek i płacić kartą?

- Jest wiele dziedzin, w których jestem dobra, ale to nie twoja sprawa - rzekła w końcu.

Billy uśmiechnął się. Ta mała była naprawdę rozbijająca. Nie potrafił długo być na nią zły. Jej charakter i tupet nawet mu imponowały, lecz towarzyszył temu tak zupełny brak doświadczenia, że było to zdumiewające.

W pewnym sensie nawet jej trochę zazdrościł tej ufności i świeżości uczuć.

Billy właściwie od dzieciństwa pozbawiony był złudzeń i oczekiwań i wydawało mu się, że to czyni go silniejszym.

Kiedy miał dwa lata, jego ojciec wyszedł z domu po piwo i już nie wrócił. Jego matka ciężko pracowała, żeby utrzymać siebie i dziecko, a jednocześnie uczyła się w szkole pielęgniarstwa. Po kilku latach zdołała dopiąć celu i zrobiła dyplom, lecz wkrótce potem wykryto u niej białaczkę. Chorowała przez cztery miesiące i zmarła; Billy był przy tym obecny. Jej ostatnie słowo brzmiało: Przepraszam. Billy miał wtedy wrażenie, że przeproszała go za dzieciństwo i życie, jakie mu zgotowała.

Od tamtej pory Billy zaczął sam o sobie decydować i uznał, że życie traktować trzeba jak niebezpieczną grę. Im jest się silniejszym, tym większą ma się szansę na przetrwanie. Od swych przeciwników spodziewał się zawsze najgorszego i rzadko kiedy się mylił. W jego świecie nie było miejsca na idealizm, a niewinność równała się słabości. Ten świat nie był dobrym miejscem.

I wystarczyło mu kilka godzin spędzonych z Julie Roper, by zauważył, że być może coś mu umknęło. W jego świecie brakowało tęczy kolorów.

Billy karciał się w myślach, mówił sobie, że jest idiotą, lecz nie mógł oderwać od niej wzroku.

Teraz, zrezygnowana, opadła na siedzenie i zatrzasnęła za sobą drzwi samochodu.

- Chciałam przecież tylko się przejechać - szepnęła. - Bez Harrisa, bez Beau, bez szofera...

- Chwileczkę! Kto to jest Beau?

- Co? Och... to znajomy. Ja tylko chciałam pobyc trochę sama, bez żadnej obstawy, bez opieki... No, miałam ochotę na przejażdżkę. Naprawdę.

Billy zrozumiał nagle, jak bardzo jest samotna. Ku swemu zaskoczeniu odkrył, że kierowały nią zupełnie inne motywy, niż sądził do tej pory. Tu nie chodziło wcale o przejażdżkę dla

zabawy czy o to, żeby zrobić na złość starszemu bratu. To było coś całkiem innego.

Zauważył, że oczy Julie znów wilgotnieją, a po krągłym, dzieciennym policzku wolno stoczyła się łza.

Kobiety, które płaczą, nie były dla niego nowością, lecz na ogół były to matki, żony czy dziewczyny facetów, których areztował. Jego zawód wymagał czasem okazania współczucia, było ono jednak bardziej profesjonalne niż autentyczne. Poza tym Billy znany był z tego, że prawie nie angażował się uczuciowo. Był chłodny i opanowany bez względu na okoliczności.

- Czy mogłabyś przestać? - zapytał nagle, czując, że coś dławi go w gardle.

- Co mam przestać? - chlipnęła Julie głośno.

- Przestań robić to, co właśnie robisz. Płakać. - Billy gorączkowo zaczął szukać po kieszeniach i na szczęście znalazł jakąś serwetkę. On nosił przy sobie broń, a nie jakieś tam głupie chusteczki. Teraz podał papierową serwetkę Julie, która otarła nią zapłakane oczy.

- Przepraszam - wyjąkała. - Przecież to nie twój problem. Gdybyś... gdybyś mógł podwieźć mnie teraz do telefonu, to zadzwoniłabym do Harrisa i wreszcie by się to wszystko skończyło. No wiesz, jest takie powiedzenie... jutro spróbuj od nowa.

- Czego spróbuj? - zapytał podejrzliwie.

- A co cię to może obchodzić? - Znowu łza potoczyła jej się po policzku. - To, że w mojej klepsydrze piasek przesypuje się nieubłaganie i kartki spadają z kalendarza, ciebie przecież nie dotyczy. Dla ciebie jest ważne, że już niedługo się ode mnie uwolnisz.

- Po co tak dramatyzujesz? O co ci chodzi z tą klepsydrą?

- Mniejsza o to - odpowiedziała cienko.

- Posłuchaj, Julie... podwiozłem cię tylko do stacji benzynowej. Dzisiaj masz po prostu pechowy dzień i w związku z tym może najlepiej będzie, jeśli po prostu odwiozę cię do domu?

- Może nie wiem dokładnie, gdzie teraz jesteśmy, ale to na pewno jest dość daleko od mojego domu w Palm Beach - przestała na chwilę pochlipywać i popatrzyła na niego podejrzliwie. - Do tej pory nie byłeś szczególnie zachwycony moim towarzystwem, więc co się nagle stało, że jesteś gotów tak nadłożyć drogi i odwieźć mnie aż do domu?

Billy nagle poczuł się na pewnym gruncie. Lata pracy w policji nauczyły go fabrykować na oczekaniu przeróżne historyjki. Teraz też rozparł się na siedzeniu, splótł ręce na karku i odparł:

- No cóż, wcale nie powiedziałem, że to będzie za darmo. Sie wiem, czy się orientujesz, ile zarabiają policjanci, ale...

- Rozumiem - teraz i Julie poczuła się pewniej. Kiedy trzeba było za coś zapłacić, wiedziała, jak się zachować. - A więc mogę cię wynająć?

Billy udał, że jest wstrząśnięty.

- Za kogo ty mnie masz? Za pieniądze możesz wynająć mój samochód, który zresztą sam wynająłem.

Julie aż zarumieniła się z oburzenia i bardzo jej z tym było do twarzy, Billy widział, że ją dotknął, nie miał jednak innego wyjścia.

- Wiesz co? - powiedziała. Chyba się co do ciebie myliłam. Myślałam, że spotkałam wyjątkowego człowieka, ale wcale tak nie jest. No więc, ile biorą policjanci na urlopie za spełnienie samarytańskiego uczynku? Pewnie niemało.

Billy poczuł, że walczą w nim rozmaite sprzeczne ze sobą uczucia. Wyglądało na to, że w poważnym wieku trzydziestu trzech lat zyskał nagle jakąś nieznaną mu dotąd wrażliwość. Nie chciał, żeby ta śliczna dziewczyna miała go jedynie za

pazernego na jej pieniądze faceta, ale musiał jakoś wybić jej z głowy tę całą fascynację nim i przygodą, jeśli w ogóle miał zamiar odtransportować ją z powrotem do domu. A wtedy nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko zrezygnować z pracy u Harrisa Ropera, który wyraźnie dał mu do zrozumienia, że nie chce, aby jego siostra dowiedziała się, że jest obserwowana. Gdyby Harris chciał nadać sprawować nad nią tę niewidoczną opiekę, musiałby zatrudnić kogoś, kogo Julie nie zna.

Tak więc, jakby na to nie patrzeć, nadchodził koniec jego krótkiej znajomości z Julie Roper. Jeszcze nigdy słowo „koniec” nie wydawało mu się tak bolesne.

- Zapłacisz mi tylko za benzynę, królewno - powiedział obojętnie, unikając jej wzroku. - I może jakiś niewielki napiwek, jeśli uznasz, że na to zasłużyłem. Zgoda?

- Mam nadzieję, że zgodzisz się przyjąć czek - bąknęła.

- Nie ma problemu. A teraz, proszę, wyjmij ze schowka mapę i poszukaj najkrótszej drogi do Palm Beach.

- Po co? Zrób to sam i dolicz sobie do rachunku. - Julie była na tyle urazona, że nie zauważyła, jak boleśnie ugodziła Billy'ego. - Wiesz, w jednym naprawdę jestem dobra - dodała łagodniej. - Potrafię dobrze zapłacić.

Billy przymknął oczy, starając się jakoś w tym wszystkim odnaleźć. Właściwie nie powinien brać od niej żadnych pieniędzy, przecież i tak dostawał pensję od Harrisa.

Zaklął cicho pod nosem. Cokolwiek by teraz zrobił czy nie zrobił, konsekwencje i tak będą oplakane.

- Wszystko jedno - mruknął, zwracając się do Julie. - Jedziemy! Królewno, proszę zapiąć pas.

ROZDZIAŁ TRZECI

Billy zgubił się, i to nie bez przyczyny. Ta przyczyna siedziała tuż przy nim w samochodzie i skutecznie rozpraszała jego uwagę.

Łagodny powiew wpadający przez okno rozwiewał jej złociste włosy. Pachniała różami i dzieciennym olejkiem. Widać było, że jest zmęczona, bo miała cienie pod oczami. Nie wykazywała żadnej ochoty do rozmowy, czemu Billy specjalnie się nie dziwił, bo potraktował ją przecież dość surowo. Kiedy tylko mógł, rzucał na nią ukradkowe spojrzenia, jakby nie mógł nasycić się jej widokiem.

Julie była uosobieniem tego wszystkiego, czego jemu brakowało: delikatności, fantazji i ciekawości świata połączonych z niewinnością i bezbronnością. Takich dziewczyn nie było w Oakland i, prawdę mówiąc, nigdy nie spotkał drugiej takiej jak ona.

Po godzinie jazdy nastawił radio i wewnątrz samochodu wypełniła smętna, sentymentalna muzyka. Billy wpadł w dziwny nastrój. Sam siebie nie poznawał. Czyżby w starej, pogiętej zbroi, jaką był skuty, pojawiło się pęknięcie?

W tej chwili jednak nie to było najważniejsze. Istotne było to, że naprawdę nie wiedział ani gdzie się znajdują, ani dokąd ma dalej jechać. Zdawało mu się, że właśnie minęli tablicę z napisem: Zakątek Gator 8 kilometrów; żadnych natomiast drogowskazów, czy informacji, jak dojechać do Palm Beach.

Cholera, to nie świadczyło o nim dobrze.

- Wdziałeś? - odezwała się nagle Julie.

Billy udawał zaskoczonego. Nie chciał się przyznać, że po prostu zabłądził.

- Czy co widziałem?

- Ten znak, który właśnie minęliśmy. Zakątek Gator. Tak tam było napisane?

- Aaa, ten znak? Tak, coś takiego minęliśmy, ale nie zwracałbym na to specjalnej uwagi. Czy wiesz o tym, że pachniesz różami?

- Nie zmieniaj tematu. - Julie wzięła mapę i nerwowo zaczęła szukać na niej tego miejsca.

- Nie ma tu żadnego Gator - zawołała po chwili. - Ani żadnego Zakątka Gator! Jesteś pewien, że dobrze jedziemy?

- Jestem zupełnie pewien, że nie wiem ani gdzie jesteśmy, ani dokąd jedziemy. Dobre jest tylko to, że wiem, gdzie byliśmy. Trzeba zawsze myśleć pozytywnie, nie uważasz?

- Zgubiliśmy się - wykrzyknęła Julie ze strachem, ale i z pewną satysfakcją. - Zgubiliśmy się, zgubiliśmy, zgubiliśmy! Superman Billy wiezie mnie nie wiadomo dokąd i teraz wylądujemy w jakiejś dziczy, gdzie nie ma nic oprócz aligatorów. No i co ty na to?

- Wymyśl jakieś przekleństwo, pierwsze lepsze, jakie ci przyjdzie do głowy. Właśnie to mam na ten temat do powiedzenia.

Billy przez całe życie mieszkał w mieście i nie miał najmniejszej ochoty ugrzęznąć gdzieś w buszu, gdzie czyhały całe stada aligatorów, panowała nieprzenikniona ciemność : drogi prowadziły nie wiadomo dokąd. W Kalifornii przynajmniej drogi były oznakowane i co najwyżej można było mknąć w korku, ale wiedziało się, dokąd się jedzie. A poza tym policjant miał zawsze specjalne prawa. Tutaj tymczasem popadł w niezłe tarapaty i fakt, że był ekspolicjantem, w niczym mu nie mógł pomóc.

- To wszystko przez ciebie - zwrócił się do Julie z pretensją.

- Co? - Aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, co ty dzisiaj ze mną wyrabiasz. - Nie zamierzał opowiadać jej, jak działa na niego unoszący się wokół niej zapach róż, czy jak podniecają go jej

długie nogi, choć niewątpliwie powiększało to jeszcze jego stres. - Wiesz, co? Zaczyna mnie to złościć. W Kalifornii nigdy nie zdarzyło mi się zgubić. Nigdy, ani razu. Jak wy tu możecie żyć w takiej dzikiej okolicy? Dlaczego tu nie ma żadnych świateł? Tablic informacyjnych, oznaczonych wjazdów na autostradę? Wolałbym chyba ryzykować, że dostanę kulkę w Kalifornii niż narażać się na spotkanie z aligatorami na Florydzie. Oczywiście, jeżeli w ogóle jesteśmy jeszcze na Florydzie. Miałbym co do tego wątpliwości.

- Żartujesz? Nie wiesz nawet, w którym stanie jesteśmy? - Julie przytknęła nos do szyby i usiłowała wypatrzeć coś w ciemności.

- Nic nie widzę - szepnęła. - Ani domów, ani latarni, nic. W Palm Beach nigdy nie jest tak ciemno. Wszystko jest czynne przez całą noc. Zaczynam się naprawdę bać. Zrób coś!

- Co byś chciała, żebym zrobił? Słuchaj, ja też jestem tylko człowiekiem. Nie mogę jednocześnie prowadzić samochodu i patrzeć na mapę. Nie pochodzę stąd. To ty powinnaś się orientować, bo mieszkasz na Florydzie. No ile? Dwadzieścia pięć lat?

- Dwadzieścia trzy - powiedziała sucho. - Prawie. Ale zresztą większość tego czasu i tak spędziłam w Anglii. No i trochę we Włoszech. Na wakacje zwykle wyjeżdżam do Francji. A w Szwajcarii chodziłam do szkoły dobrych manier, bo Harris się uparł.

- Rozumiem, a więc w Szwajcarii ukończyłaś szkołę dobrych manier, ale za to Florydę znasz równie słabo jak ja. To dobry dowcip. Na drugi raz, jak będziesz się wybierać na przejażdżkę, to raczej pojedź autobusem albo poproś kogoś innego, żeby prowadził twój samochód.

Julie popatrzyła na niego z pogardą.

- Wcale się nie dziwię, że tyle razy do ciebie strzelali, ty naprawdę nie umiesz się zachować.

- Tajniacy są z tego znani. Bywają na tyle chamscy, że lepiej do nich strzelić, niż na nich patrzeć.

- No to może szkoda, że nie byłeś w drogówce. Miałbyś lepsze maniery, lepiej umiałbyś posługiwać się mapą i potrafiłbyś znaleźć drogę.

Zapadła cisza, dopiero po chwili Billy był w stanie się odezwać.

- No więc masz pecha, bo nie byłem w drogówce. Ale ponieważ bywam bardzo nieprzyjemny, kiedy ktoś wyprowadzi mnie z równowagi, więc lepiej będzie, jeśli przez chwilę nie będziesz nic mówić.

- Przecież wciąż...

- Cicho.

Julie już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale powstrzymała się, widząc jego surowy profil i zaciśnięte usta. Wyglądało na to, że Billy do reszty stracił poczucie humoru.

Nigdy w życiu nie była świadkiem sytuacji, kiedy mężczyzna wpada w szal. Harris, mężczyzna, z którym spędzała najwięcej czasu, kiedy był zdenerwowany, to co najwyżej rozluźniał sobie krawat i nie objawiał irytacji w żaden inny sposób.

Teraz coś ją kusiło, żeby sprowokować Billy'ego. Wiedziała, że na tyle mocno załazła mu za skórę, iż z trudem panuje nad sobą. Fascynował ją, a w gniewie zdawał się być jeszcze bardziej pociągający. Patrzyła na jego ciemne włosy opadające na policzki i na bliznę, ukośnie przecinającą brew. Ta blizna była pewnie pamiątką po którejś z jego niebezpiecznych eskapad.

Prowadził samochód ze wzrokiem utkwionym w szosę, nie przekraczając rozsądnej szybkości siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Julie, przy całym swoim braku doświadczenia, odczuwała jakąś przewrotną satysfakcję,

płynącą z faktu, że nawet tak silnego mężczyznę jak Billy potrafiła wyprowadzić z równowagi.

- Dlaczego to robisz? - zapytał Billy nagle, ze wzrokiem wciąż utkwionym w szosę.

- Co robię?

- Wpatrujesz się we mnie.

- Skąd wiesz, że się w ciebie wpatrywałam, skoro ty nie patrzyłeś na mnie?

- Wiem. Ja zawsze wiem, co robisz - powiedział.

Pod wpływem tych kilku słów cała jej dotychczasowa brawura gdzieś się ulotniła. Julie poczuła, że ten mężczyzna ma na nią jakiś niezwykły wpływ; czyżby role się odwróciły i teraz on był górą?

- Nie chce mi się na razie z tobą rozmawiać - mruknęła i odwróciła się do okna, za którym rozpościerała się nieprzenikniona ciemność.

Okazało się, że nie byli wcale daleko od cywilizacji - przynajmniej w jej prowincjonalnym wydaniu. Wyglądało na to, że dojechali do ośrodka turystycznego, na który składał się motel, kemping oraz park rozrywki. W neonowym napisie świeciła się najwyżej co trzecia litera, ale Billy był pewien, że jest to właśnie Zakątek Gator. Na parkingu przed motelem stały tylko dwa samochody, jeden z nich przed biurem dyrektora.

- Co za przerażające miejsce - zauważyła Julie. - Oglądałeś może „Psychozę”?

- Pracowałem w Kalifornii, w tajnej policji, pamiętasz? Nie ma nic bardziej „psycho” niż taka robota. A poza tym, nie jestem już w stanie dłużej dzisiaj prowadzić. Czuję wykończony.

Nie była to w pełni prawda, Billy czuł jednak, że musi jak najszybciej skontaktować się z Harrisem i potrzebował

pretekstu, aby poszukać telefonu. Przypomniawszy też sobie o swojej roli i otwierając drzwi auta, zwrócił się do Julie:

- Bardzo mi przykro, ale niestety mój budżet jest ograniczony. Będziemy musieli skorzystać z twoich kart kredytowych, żeby tu przenocować.

- Oczywiście, zapomniałam na moment, że jesteś moim pracownikiem. - Julie chwyciła torebkę i wysiadła z samochodu, zrobiło jej się nagle strasznie przykro, choć nie chciała tego po sobie pokazać. Weszła za Billym do motelu i o mało nie uciekła na widok osobnika urzędującego w recepcji. Wyglądał dokładnie jak Anthony Perkins, który w „Psychozie” grał krwiożerczego właściciela motelu.

- Potrzebujemy dwóch pokoi - oświadczył Billy.

- Bardzo mi przykro - odpowiedział Anthony Perkins i ziewnął. - Mamy prawie komplet gości, więc mogą państwo dostać jedynekę, jeśli to wam wystarczy.

Billy miał ochotę machnąć facetowi przed nosem swoją odznaką policyjną i zobaczyć, jak wtedy zaśpiewa, ale ponieważ już nie mógł posługiwać tą odznaką, więc dał sobie spokój.

- Wydaje mi się, że macie tu co najmniej dziesięć pokoi, a na parkingu jest jeden samochód. Czyżby wszyscy wasi goście przyjechali tym jednym samochodem?

- Większość gości przyjeżdża tu z przyczepami i parkują wtedy na kempingu po drugiej stronie szosy. Poza sezonem przeznaczamy dla gości tylko dwa pokoje i jeden z nich właśnie przed godziną wynająłem.

- Ale nam potrzeba dwóch pokoi i to zaraz - odezwała się Julie, wyglądając zza pleców Billy'ego. - Zapłacimy podwójnie.

- Jak chcecie, to możecie zapłacić podwójnie, ale moja Margie poza sezonem sprząta tylko dwa pokoje i nie będę jej budził o trzeciej nad ranem tylko po to, żeby przygotowała

wam jeszcze jedno łóżko. Mam jedynekę i mogę wam dać tę jedynekę.

Julie stała jak ogłupiała. Jej skromne doświadczenie uczyło, że za pieniądze załatwić można wszystko, zależy tylko od ceny.

- A jeśli zapłacimy potrójnie? - wypaliła.

Facet z recepcji rzucił Billy'emu niespokojne spojrzenie.

- Czy ona ma kłopoty ze słuchem? - zapytał.

- Nie - westchnął Billy. - Ona jest bogata, a to dużo cięższa choroba. Dobra, bierzemy tę jedynekę.

- Chwileczkę - powstrzymała go Julie. - Zastanów się przez moment...

- Ja będę spać na podłodze - odparł Billy. - Nie masz się co trząść.

- Wcale się nie trzęsę - oburzyła się Julie. - I przestań się ze mną spoufalać.

- Aaa, to wy wcale nie jesteście małżeństwem! - domyślił się recepcjonista. - W takim razie masz szczęście, człowieku. Trafiła ci się niezła sztuka, choć ma trochę przewrócone w głowie.

- To długa historia - odpowiedział Billy i uśmiechnął się. - Chciałem jej tylko pomóc, kiedy zepsuł jej się samochód. No i wplątałem się w niezłe tarapaty.

- Proszę o klucz do pokoju - Julie ze złością cisnęła na kontuar swoją kartę kredytową. Nie mogła znieść, że mówią o niej, jakby jej przy tym nie było. Nie była też przyzwyczajona, by tak mało się nią przejmowano.

- Pokój numer trzy, z korytarza na lewo. - Recepcjonista znowu ziewnął. Julie podpisała rachunek, mrucząc coś z niezadowoleniem, ale ani Billy, ani recepcjonista nie zwracali na to uwagi.

Julie była wściekła, że nie dostali drugiego pokoju i że nie jest tu traktowana dość uprzejmie, lecz kiedy otworzyli drzwi pokoju numer trzy, oniemiała ze zdumienia.

Często bywała w czterogwiazdkowych hotelach, nigdy dotąd jednak nie zdarzyło jej się nocować w motelu. Na widok warunków, w jakich się teraz znaleźli, przeżyła szok.

Pokój był mały i przypominał raczej norę mocno pachnącą środkiem czyszczącym o zapachu sosny. Mebli prawie tu nie było, stało tylko łóżko, mała szafka i plastikowe ogrodowe krzesło. Nie było telewizora ani umywalki, żadnych owoców ani czekoladek przy łóżku. Na ścianie nad łóżkiem szczyrzył się natomiast aligator zrobiony z papier - mache.

- Jak tu jest... dziwnie - wyjąkała w końcu Julie. - Podróżowałam po całym świecie, ale nigdzie czegoś takiego nie widziałam. Nigdy!

Billy obserwował ją uważnie, zdając sobie sprawę, że w tej wychuchanej księżniczce takie warunki muszą wywołać wstrząs. Minę miał dość rozbawioną, lecz jego stan wewnętrzny daleki był od spokoju.

Ta dziewczyna diabelnie na niego działała. W swojej połyskliwej sukni i w tenisówkach wyglądała absurdalnie, lecz podobała mu się tym bardziej. Była drobniutka, lecz bardzo zgrabna, a jej długie blond włosy harmonizowały z delikatną buzią o karnacji jak z porcelany. Każda myśl i uczucie natychmiast odbijało się na jej twarzy. Nie nauczyła się jeszcze udawać i maskować swoich emocji.

On umiał to robić, ale wobec siebie musiał być szczery

- ta mała naprawdę ugodziła go w najczulsze miejsce i to przy minimalnym wysiłku z jej strony, za to z wielką siłą. Zdołała tego dokonać, mimo że była prawie dzieckiem, a on doświadczonym mężczyzną.

- Bywałem w gorszych miejscach - powiedział, by ją pocieszyć, Julie jednak z trudem mogła w to uwierzyć. - O Boże, w o ile gorszych?

- O wiele - zakończył, przypominając sobie naraz, że najwyższy już czas zadzwonić do Harrisa.

Jedyną na to szansą był telefon komórkowy, który miał w samochodzie, w tym celu trzeba było jednak chociaż na chwilę uwolnić się od Julie.

- Słuchaj, wychodzę na moment, żeby zamknąć samochód - powiedział. Julie jednak nie chciała nawet słyszeć o tym, że miałyby zostać w pokoju sama. Bała się nawet papierowego aligatora na ścianie i całe to miejsce wydawało jej się podejrzane.

- Myślałem, że lubisz przygody - drażnił się z nią Billy.

- Lubię, ale na dzisiaj mam ich dosyć. - Rzeczywiście, wyglądała na bardzo zmęczoną, a cienie pod jej oczami zrobiły się jeszcze głębsze.

Pomyślał, że teraz przede wszystkim musi zająć się Julie, a potem spróbować dodzwonić się do Harrisa, szczególnie, że nie był pewien, czy baterie w ogóle zadziałają.

- No to w porządku - powiedział. - Teraz trochę się prześpiemy. Te parę godzin nas nie zbawi.

- Co to znaczy? - Julie cała się nastroszyła. - Aż tak bardzo chcesz się ode mnie uwolnić?

Billy nie chciał kłamać, ale nie mógł też powiedzieć jej całej prawdy. Im dłużej z nią przebywał, tym mniej śpieszyło mu się do chwili, kiedy znowu wpuści ją do jej złotej klatki. Teraz jednak wolał zmienić temat.

- Nie, wcale nie - rzekł. - Ale czy mogę cię o coś zapytać? Czy ty zawsze tak się ubierasz?

- Tak to znaczy: jak? - Julie trochę się zmieszała i popatrzyła na swoją sukienkę. - Co ci się w niej nie podoba.

To Versace. Sukienki od Versace można nosić w każdej sytuacji.

- Ale czy pasują do nich takie tenisówki? A może to ty dyktujesz modę w towarzystwie, co?

- Ach, to! Zdjęłam pantofle przed wyjściem z domu, okropnie bolały mnie w nich nogi. Powiedz, czy tak strasznie wyglądam?

Była naprawdę rozbijająca.

Jej niewinność chwyciła Billy'ego za serce, a jednocześnie podziwiał jej ciekawość wszystkiego, co ją otaczało, jej świeżość i chłonność. Złapał się na tym, że chciałby móc odpowiadać na wszystkie jej pytania, być kimś, kto wprowadza ją w świat i zaspokaja jej młodzieńczą ciekawość.

- Wyjdę na chwilę do łazienki, bo marzę o prysznicu - powiedział, mając nadzieję, że tam przynajmniej nie będzie chciała mu towarzyszyć. On zaś koniecznie potrzebował teraz chwili samotności, żeby ochłonąć, sprawy posuwały się zbyt szybko i Julie była na najlepszej drodze, żeby nim zawładnąć, chociaż sama nie miała o tym pojęcia. Billy miał wrażenie, że tej dziewczynie przydałby się teraz ktoś, kto chroniłby ją przed nim, choć to właśnie on miał nad nią czuwać.

Kiedy wyszedł, Julie rozejrzała się po pokoju, usiłując jakoś oswoić się z tym okropnym miejscem. Przyjrzała się nawet z bliska aligatorowi, przeczytała reklamówkę Zakątka Gator, po czym usiadła na łóżku.

- Billy - szepnęła. Oczyma wyobraźni widziała go pod prysznicem, lecz że zasób jej doświadczeń był ubogi, to i wyobraźnia trochę ją w tej sytuacji zawodziła. Billy był zupełnie inny od mężczyzn, których знаła, łączył w sobie męskość z chłopięcym ciepłem i wdziękiem. I przy tym emanował seksem. Jego uśmiech zapierał jej dech, a tamten lekki pocałunek wciąż czuła na wargach.

To właśnie tamten moment obudził w niej coś, jakieś dziwne doznanie, które nasilało się z każdą minutą, kiedy przebywała z tym mężczyzną. Teraz uświadomiła sobie, że to Billy wyzwala nieznane dotąd sensacje w jej ciele i w sercu.

Przypomniawszy sobie, że Billy zaraz wróci, Julie zaczęła szybko przygotowywać się do spania. Zdjęła sukienkę, zrzuciła tenisówki i w samych majtkach i staniku wślizgnęła się pod koc.

Billy pojawił się z powrotem odświeżony, z mokrymi włosami i ręcznikiem okręconym na biodrach. Wniósł ze sobą atmosferę nieodpartej zmysłowości, która od początku działała na Julie i dosyć ją niepokoiła. Przez chwilę nie mogła złapać tchu.

- Nie patrz na mnie z takim niepokojem - powiedział, usiłując mówić tonem beztruskim. - Chyba nie muszę cię zapewniać, że...

- Nie, nie musisz - przerwała mu szybko Julie, podciągając koc pod samą szyję. - Wiem, że jestem z tobą całkiem bezpieczna.

- Gdybym jeszcze miał w czym spać...

- O to się nie martw. Ja nic nie mam na sobie i dobrze jest. Jest mi - tu głos jej się lekko załamał - naprawdę wygodnie. To znaczy coś na sobie mam, nie zrozum mnie źle, zdjęłam tylko...

- Może nie mówmy o tym, co z siebie zdjęłaś - odparł Billy gwałtownie. Wyciągnął z szafy dodatkowy koc i cisnął go na podłogę. - Mogłabyś mi rzucić jedną poduszkę? No, a teraz może byśmy się jednak trochę przespali? Dobranoc.

- Billy?

Leżał już owinięty w koc, jak w kokonie, za wszelką cenę starając się nie patrzeć na Julie.

- Co?

- Jedno z nas musi zgasić światło. Jeśli obiecasz, że zamkniesz oczy i nie będziesz podglądać, to ja...

- Chyba sobie żartujesz - wymruczał Billy, szybko wstając, zawinięty w koc, jak w togę. - Nie jesteśmy w szóstej klasie i niczego takiego nie będę ci obiecywać.

Podszedł do wyłącznika, ale zwlekał jakoś ze zgaszeniem światła. Zupełnie nie mógł oderwać wzroku od Julie, wpatrywał się w nią, jakby była najbardziej fascynującą i godną podziwu istotą na świecie.

- Co się stało? - zapytała ciekawie.

- Chciałem po prostu jeszcze przez chwilę na ciebie popatrzeć - powiedział miękko i nacisnął wyłącznik.

W pokoju zapanowała absolutna ciemność. Julie słyszała, jak podszedł do niej, po czym znów ułożył się na podłodze przy jej łóżku.

Julie poczuła, że skóra na niej cierpnie i dzieje się z nią coś dziwnego, jakby nagle ulegała przepoczwarczeniu. Czyżby właśnie stawała się motylem? Jeszcze nikt nigdy w ten sposób do niej nie mówił i niczyje słowa nie oddziaływały na nią tak mocno. Zdawało jej się, że rozpala się w niej teraz jasny płomień.

Senność opuściła ją zupełnie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nigdy dotąd Billy Lucas nie wylegiwał się w łóżku i nie sypiał do późna. Tym większe więc było jego zdumienie, gdy otworzył oczy i stwierdził, że w pokoju stało się nieprzyzwoicie jasno i słońce jest już wysoko. Spojrzał na zegarek i nie mógł uwierzyć, że rzeczywiście jest już jedenasta trzydzieści.

Podłoga wydawała mu się teraz znacznie twardsza, niż kiedy kładł się spać, i czuł, że kark mu zeszywniał i bolą go wszystkie kości. Usiadł powoli i przetarł oczy. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że Julie wstanie wcześniej od niego, a co więcej, że wymknie się z pokoju, nawet go nie budząc. Do tej pory Billy sypiał czujnie jak kot; nikt nie byłby w stanie wykonać ruchu w jego pobliżu, żeby go nie obudzić. Ta czujność wielokrotnie przydała mu się w rozmaitych trudnych sytuacjach. Teraz jednak puste łóżko Julie stanowiło niezbity dowód, że ta jego zdolność należała już do przeszłości. Billy czuł się fatalnie, jakby groźny podejrzany uciekł mu z aresztu.

Wstał na nogi, wciągnął szybko dzinsy i pod łóżkiem zaczął szukać swoich butów, kiedy do pokoju weszła nagle Julie. Przynajmniej zdawało mu się, że to ona, była bowiem całkowicie odmieniona; po dawnej Julie pozostały tylko oczy.

Miała na sobie sandały, obszerne szorty khaki i kusą koszulkę, włosy związane w koński ogon, a na głowie nasuniętą prawie na oczy czapkę baseballową. Przez ramię przewiesiła nowiutką plastikową torbę. Każda z tych rzeczy opatrzona była logo Zakątka Gator.

- Co ty tam robisz? - zagadnęła niewinnie. - Mnie tam szukasz?

- Ale jesteś zabawna! - warknął, wstając z podłogi. - Szukałem butów, żeby móc wyruszyć na poszukiwanie ciebie. Znikłaś bez śladu i myślałem, że uciekłaś.

- Ach, nie masz pojęcia, jak tu jest świetnie. To jakby taki mały Disneyland, tylko tu nie jest tak czysto i zamiast Myszki Miki mają aligatory. Karuzela jest, co prawda, tylko jedna, ale za to znalazłam sklep z pamiątkami i można płacić kartą American Express!

- Przestań się zachowywać, jakby nic się nie stało! - Billy z groźną miną pokręcił głową. Gdzieś w głębi ducha wiedział, że przesadza, ale taki miał temperament. - Kiedy tak sobie szastałaś pieniędzmi w tym całym Disneylandzie, to nie przeszło ci przypadkiem przez myśl, że ja mogę się martwić, co się z tobą stało?

- Nie bądź śmieszny. Jak mogłeś się martwić, skoro spałeś sobie w najlepsze?

- Spałem? Skąd wiesz, że spałem?

- Sprawdzalam. Zaglądałam tu dwadzieścia minut temu i przedtem jeszcze raz; chrapałeś aż miło.

- Jestem policjantem - Billy nie krył, że czuje się dotknięty. - Nigdy nie śpię mocno. Żaden z nas nie śpi głębokim snem. Jesteśmy w stanie ciągłego pogotowia.

Dobry humor, z jakim Julie wkroczyła do pokoju, gdzieś się ulotnił. Jakoś inaczej wyobrażała sobie ten poranek, nie wiedziała dokładnie jak, ale nie w ten sposób. Była rozczarowana.

- To śmieszne! - powiedziała, wydymając usta. - Każdy potrzebuje snu, nawet policjant, a ja zaczynałam się już zastanawiać, czy nie zapadłeś w letarg.

- No, jeśli spałem tak mocno, to tylko dlatego, że wykończyłaś mnie wczoraj zupełnie.

- Przepraszam - Julie była już teraz naprawdę obrażona. - Muszę zadzwonić do Harrisa i niedługo się ode mnie uwolnisz. Czekałam z tym, aż się obudzisz, panie policjancie w stanie pogotowia.

- Do Harrisa? Do twojego brata? Czeka! - Ta wiadomość zelektryzowała Billy'ego i do reszty już wyrwała go ze stanu senności. - Nie rób tego, dopóki ja... mniejsza o to. I co mu powiesz, jak zadzwonisz?

Julie popatrzyła na niego, jakby się urwał z choinki.

- Co się dzisiaj z tobą dzieje? Powiem mu, oczywiście, prawdę; że wybrałam się na przejażdżkę, zgubiłam się i zabrakło mi benzyny. On kogoś tu po mnie przyśle. Zastanawiałam się tylko, co powiedzieć mu o tobie, ale lepiej nie będę wspominać, że nocowaliśmy razem w motelu, bo Harris mógłby dostać apopleksji, czy czegoś w tym rodzaju. On jest naprawdę przewrażliwiony na punkcie mojego bezpieczeństwa.

Billy czuł się okropnie winny, że pozbawił ją tej dziecinnej radości, nastroju beztroski, z jakim przed chwilą pojawiła się w pokoju, ale może on też był przewrażliwiony, bo kiedy obudził się, a jej nie było, nie potrafił opanować zdenerwowania.

- A jak cię zapyta, gdzie jesteś?

- Ludzie mojego brata są bardzo skuteczni w działaniu, jestem pewna, że znajdą mnie tu prędzej czy później. A teraz, pozwolisz, że na chwilę wyjdę?

- Poczekaj, powiedz swojemu bratu tylko to, że jesteś w drodze do domu. Zakątek Gator nie jest żadnym ważnym centrum turystycznym i trochę to potrwa, zanim cię tutaj znajdą. Wezmę prysznic i zaraz możemy jechać. W ten sposób będziesz w domu o wiele szybciej.

Julie ujęła się pod boki i popatrzyła na niego badawczo. Starła traktować go chłodno i stanowczo, niezbyt dobrze jednak się z tym czuła; jeszcze przed chwilą wyobrażała sobie, jak to wyciągnie Billy'ego na karuzelę, wyglądało jednak, że pozostanie to tylko w sferze fantazji.

- A nie masz w tym żadnych ubocznych celów? - zapytała podejrzliwie.

- Do diabła z tym wszystkim! - Billy zaklął, nie mogąc powstrzymać narastającego rozgoryczenia. Z sekundy na sekundę coraz bardziej dość miał tej swojej roboty. Tak chciałby powiedzieć Julie prawdę, ale nie mógł tego zrobić i musiał dalej wikłać się i motać w sieci drobnych kłamstw i wykrętów. Gdyby Julie dowiedziała się, że Harris nakazał ją nieustannie śledzić, nigdy by bratu nie wybaczyła.

- Oboje znamy warunki umowy - odparł. - Koszty benzyny i napiwek. Zainwestowałem już w ciebie masę czasu i wysiłku, no ale jeśli chcesz się wycofać...

- W porządku. Mam tylko nadzieję, że znajdziesz drogę stąd do Palm Beach. - Julie była bliska łez, lecz za nic nie chciała się z tym zdradzić. Odwróciła się więc do telefonu, który jednak okazał się na tyle staroświecki, że nie potrafiła sama dać sobie z nim rady i Billy musiał jej pomóc wybrać numer.

W końcu udało jej się dodzwonić do Harrisa i rozmowa, jej zdaniem, przebiegła względnie spokojnie. Wziąwszy oczywiście pod uwagę paranoiczne i nadwrażliwe usposobienie jej brata. Julie powiedziała mu, że nic jej nie jest, tylko miała problemy z samochodem; Harris chciał oczywiście wiedzieć, czy nie została porwana, czy nikt nie zrobił jej krzywdy, a ponieważ słyhać było wyraźnie, że jest zdenerwowany, Julie poinformowała go tylko, że jest w drodze do domu i odwiesiła słuchawkę.

- W porządku - powiedziała. - Uspokoiliam go i po kłopotcie.

- Och, niewątpliwie - stwierdził Billy z przekąsem. - Z tego, co opowiadałaś mi o swoim bracie, domyślałam się, że teraz dopiero wpadnie w panikę i uruchomi jakieś środki

nadzwyczajne. Jak myślisz, czy jak przyjedziemy, to FBI będzie już tam na mnie czekać?

- Chyba nie - odparła Julie bez przekonania.

- Cóż za uroczy poranek - stwierdził Billy ironicznie i dodał: - Dzisiaj wyglądasz jak prawdziwa turystka. Czy kiedykolwiek przedtem zdarzyło ci się chodzić w plastikowych butach albo z plastikową torebką?

- Nie - Julie popatrzyła na swoje stopy w tandetnych sandałach. - Pierwszy raz. Ostatnio wiele rzeczy zdarza mi się pierwszy raz.

- Hej! Czubek nosa ci poczerwieniał. Powiedz mi, czy coś jest nie tak?

- Nie, nie wszystko jest w porządku. - Usiłowała nadrabiać miną, ale oczy miała już pełne łez i broda zaczęła jej się trząść. - Przecież to, że nie umiem nabrać benzyny do baku czy że nie znam Florydy, nie oznacza jeszcze, że jestem jakąś zupełną idiotką, prawda? Jestem taka sama jak wszyscy inni ludzie, prawda? No powiedz! Prawda?

Billy poczuł gwałtowny przyływ czułości i współczucia dla tej dziewczyny wychowywanej jak w klatce, w zupełnej izolacji od rzeczywistości.

- Julie - powiedział cicho, czule gładząc ją po policzku - jesteś tylko trochę oderwana od zwykłego życia. Poza tym jesteś absolutnie taka jak inni ludzie.

- Ale ty masz mnie za idiotkę, prawda?

- Nic nie mów - szepnął i położył jej palec na wargach. - Daj mi skończyć i nie gadaj głupstw. Nie jesteś żadną idiotką, a raczej kimś wyjątkowym, nieprzewidywalnym. Jesteś tak piękna, że od pierwszego wejrzenia możesz mężczyźnie złamać serce. Krótko mówiąc, maleńka, jesteś zadziwiająca.

- Och! - wyszeptała Julie cichutko.

- To prawda - Billy był szczęśliwy, że teraz przynajmniej może mówić szczerze. Głos rozsądku podpowiadał mu, że

dobrze byłoby przerwać tę rozmowę i raczej wziąć zimny prysznic, nie prowadziło to bowiem do niczego dobrego, jego zmysły jednak mówiły co innego. Z zachwytem wodził czule palcem po twarzy Julie, nie mogąc dość się nazachwycać miękkością jej skóry, delikatnej jak jedwab.

Wiedział, że nie powinien tego robić. Płacono mu za to, żeby jej strzegł i nikogo nie dopuszczał do niej zbyt blisko, a tymczasem on sam jako pierwszy pogwałcił ten zakaz. Zdecydowanie źle wywiązywał się ze swego zadania. Powinien zostać wyrzucony z pracy i to natychmiast.

Walcząc z wyrzutami sumienia, nie przestawał jej się przyglądać.

- Podoba ci się to? - zapytał.

- Kiedy mnie dotykasz? - Duże, ciemne oczy Julie otworzyły się szeroko, z ufnością. Zbyt była niedoświadczona, aby się bać. - Tak - odpowiedziała po prostu. - Jesteś taki delikatny... To prawie jak pocałunek.

- Moje pocałunki nie zawsze są delikatne.

- Nic o tym nie wiem - wyszeptała.

Przestrzeń pomiędzy nimi nagle jakby zawibrowała. Było w niej napięcie równie groźne jak ładunek wybuchowy. Julie leciutko musnęła pocałunkiem palec Billy'ego wciąż błądzący po jej twarzy. Tak bardzo chciała choć raz, właśnie teraz, przekroczyć granicę tego, co dozwolone i przyjęte. Nie potrafiła jeszcze rozeznaczyć się w tym, co czuje, wiedziała jednak, że dzięki Billy'emu znajdzie odpowiedź na wszystkie swoje pytania.

- Przestań - powiedział, patrząc jej w oczy. - Wiesz dobrze, że nie powinnaś...

- Wiem! Nie powinnam tego, nie powinnam tamtego... - Stała tak blisko, że prawie dotykali się biodrami. - Mam już tak dosyć tych pouczeń. Czy nigdy nie zdarzyło ci się chcieć

coś zrobić właśnie dlatego, że ci na to nie pozwalali? Dlatego, że się bałeś, że to szansa, która może się już nie powtórzyć?

Billy zacisnął powieki, ale i tak miał wciąż w oczach jej obraz.

- Nie, absolutnie nigdy - wydusił.

- Kłamiesz.

- A ty igrasz z ogniem.

- Nie. Ja tylko... wokół niego tańczę.

Billy westchnął ciężko, otworzył oczy i znów przez chwilę sycił się jej widokiem. Była tak piękna, że nie potrafił już dłużej zachowywać pozorów opanowania. Zanurzył dłonie w jej włosach i przyciągnął ją do siebie. W tym momencie obudził się w nim duch dziki i niespokojny, którego nosił w sobie, sam o tym nie wiedząc.

Całował ją mocno, łapczywie, jak człowiek, który jest głodny i nie może się nasycić. Skóra Julie miała smak miodu, róż i porannej rosy... wszystkiego, co w życiu cudowne. Czuł na swoich wargach jej szybki oddech, przylgnęła do niego całym ciałem, a jej ręce błędziły po jego włosach, ramionach, plecach w gorączkowej pieśczoście. Lęk i niepewność zamieniły się w lęk i narastające pożądanie. Billy uświadomił sobie nagle, że coś niezwykłego spotyka go w życiu po raz pierwszy. Jeszcze nigdy nie całował Julie Roper.

Z trudem oderwał się od niej, starając się wrócić do rzeczywistości i patrząc w te wielkie, ciemne oczy, w których można by utonąć, powiedział: - No widzisz, mówiłem ci. Nie zawsze jestem delikatny.

- Mnie się to podobało - Julie nie potrafiła udawać, a zresztą i tak widać było po niej, co czuje, oddychała bowiem szybko i cała drżała w pragnieniu... - A ty, jak się czułeś?

- Jak się czułem? - Billy zaśmiał się cicho, ponieważ nikt go nigdy jeszcze o to nie pytał. - Malutka, czułem się, jakbym był w pół drogi do nieba, gdzie pewnie nigdy niestety nie uda

mi się dostać. Ale wiesz co, lepiej nie podchodź do mnie znów zbyt blisko, bo naprawdę nie odpowiadam za siebie. To było jak najśłodsza ambrozja kosztowana po trzydziestu trzech latach głodu i pragnienia. Ale na tym koniec. Sama wiesz, że nie powinniśmy. To był mój błąd, którego nie żałuję. A teraz pójdę wziąć zimny prysznic. Przepraszam na chwilę.

Wyszedł, upewniwszy się jeszcze z rozbrajającym, chłopięcym uśmiechem, że tym razem Julie nigdzie nie pójdzie, nie zniknie pod jego nieobecność tak jak przedtem. Ona jednak ani nie chciała, ani nie bardzo była w stanie zniknąć. Kolana uginały się pod nią, aż musiała oprzeć się o ścianę, oczy jej lśniły, na ustach wciąż czuła pocałunki Billy'ego. Przycisnęła dłoń do serca, jakby chciała je trochę uspokoić. Działo się z nią coś, czego nie знаła, lecz było jej dobrze jak nigdy dotąd.

Zakątek Gator za dnia prezentował się znacznie lepiej niż w nocy. Po drugiej stronie wąskiej dwupasmówki na kempingu stało kilka samochodów z przyczepami turystycznymi.

Niedaleko motelu natomiast, za pagórką, znajdował się betonowy basen z wodą, otoczony czarnym mułem, z którego wyrastały kępy splecionych trzciny, i ogrodzony siatką. Na ogrodzeniu wisiały tablice z koślawymi napisami: „Pożeracze ludzi!” „Gatormania!” „Rzut Kurczakiem do Paszczy!”

- Szkoda, że nie mam aparatu - powiedziała zdumiona Julie, przyglądając się wystającym z mętnej wody potężnym bryłom koloru błota, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będącym aligatorami. - Harris nigdy by w to nie uwierzył. Jak myślisz, o co chodzi w tym „Rzucie Kurczakiem”?

Billy popatrzył na nią i uśmiechnął się. - No cóż, rzut kurczakiem, to po prostu rzut kurczakiem, a paszcza najprawdopodobniej należy do któregoś z wygłodzonych aligatorów, reszty możesz się chyba domyślić.

- W takim razie ten rzut kurczakiem możemy sobie chyba darować - wzdrygnęła się Julie.

- Oczywiście. Ktoś musi być po stronie kurczaków. Przespacerowali się wzdłuż straganów, z których każdy opatrzony był podobizną jakiegoś zwierzaka z tych okolic. Były tam więc takie atrakcje, jak Przekąska Szopa Pracza, Wisząca Ściana Aligatorów, Rzut Ringo do Kłapiącego Żółwia czy Gator Bungee. Wyglądało to jak wesołe miasteczko na głębokiej prowincji.

- Nie chce mi się wierzyć, że jesteśmy na Florydzie - powtarzała wciąż Julie, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że takie miejsca w ogóle istnieją. Harris musi to zobaczyć. Kiedy pomyślę, ile traciłam, nie wystawiając nosa z Palm Beach...

- Wątpię, aby Harris podzielał twój entuzjazm - stwierdził Billy, mając zaraz przed oczami nieskazitelnie białe koszule i lśniące włoskie buty swego pracodawcy. Po raz pierwszy, odkąd pocałował Julie, odważył się pomyśleć o Harrisie Roperze i o tym, że ta bajka niebawem się skończy. Jego uśmiech od razu przygasł.

- Z tego, co o nim opowiadałaś, sadzę że jest zbyt elegancki, aby mieć frajdę z tutejszych atrakcji - spojrzał znacząco na plamę błota na podkoszulku Julie, ślad po jej próbach złowienia langusty w sieć.

- Wiesz, nie jestem pewna, czy kiedykolwiek widziałam, jak Harrisowi coś sprawia frajdę i że mój brat dobrze się bawi. On, jeśli akurat nie jest w biurze, to zamartwia się, co się tam dzieje; pracuje na laptopie nawet w drodze do pracy. Poznasz go zresztą, jak dojedziemy. Sam się przekonasz, że albo będzie miał słuchawkę przy uchu, albo palce na klawiaturze komputera.

Billy'emu jednak wcale się nie śpieszyło do spotkania z bratem Julie. Harris będzie wściekły, z miejsca wyrzuci go z

pracy, a Julie zostanie brutalnie odarta ze złudzeń, bo dowie się, że obaj ją oszukiwali. Nie była to wizja zachęcająca, ale Billy postanowił stawić czoło temu, co go czekało, kiedy przyjdzie na to czas. Na razie chciał się cieszyć tymi chwilami, które mógł jeszcze spędzić z Julie. Jeszcze tylko parę minut, mówił sobie w duchu. Potem zadzwonię do Harrisa i wszystko się skończy.

Nieoczekiwanie zapytał: - A co byś powiedziała na przejażdżkę na Karuzeli ze Stworami z Mokradeł z facetem, który ma lekkiego pietra? No jak, nie boisz się?

Julie roześmiała się wesoło. Czekąca, że jej to zaproponuje; cieszyła się tu wszystkim jak dziecko. Pierwsza dosiadła plastikowego aligatora, Billy stanął koło niej i karuzela zaczęła obracać się, skrzypiąc głośno. Namawiała go, żeby też dosiadł jakiegoś hipopotama czy szopa, ale karuzela była już w pełnym biegu.

- Wcale nie żartowałem, kiedy powiedziałem ci, że mam pietra - jęknął. - Poza tym od jazdy w kółko robi mi się niedobrze.

- To minie - pocieszyła go Julie, która najwyraźniej znakomicie się tutaj bawiła i nadrabiała zaległości z dzieciństwa. - Tylko skup na czymś uwagę i nie myśl o karuzeli!

A miał rzeczywiście na czym skupić uwagę, skoro tuż przy nim siedziała piękna długowłosa blondynka, urocza w swym nowym stroju z Zakątka Gator. Podmuch powietrza rozwiewał jej długie włosy i ona przynajmniej świetnie się tutaj bawiła. Mała, skrzypiąca karuzela była dla tej młodziutkiej dziedziczki z Palm Beach czymś bardziej ekscytującym niż lot odrzutowcem.

Julie patrzyła z kolei na jedyne oprócz nich pasażera, małego chłopca, który "jechał" w plastikowej łódeczce.

Piszczał, krzyczał i chichotał, kiedy karuzela zarzucała w biegu.

- Uwielbiam obserwować małe dzieci - wyznała. - Są takie cudowne i naturalne. Niczym nieskrępowane. Puszczają wodze wyobraźni i nie martwią się, co kto sobie o nich pomyśli. Czy nie byłoby pięknie, gdybyśmy wszyscy działali spontanicznie i pod wpływem impulsu, a nie wyłącznie zdrowego rozsądku?

- To zależy, czy jest się porządnym facetem, czy nie bardzo - zauważył Billy.

Julie spojrzała na niego z dezaprobatą.

- Na moment przestań myśleć jak policjant. Oczywiście, że chodzi o porządnych ludzi. Czy nie byłoby cudownie, gdybyśmy tak jak ten chłopczyk potrafili cieszyć się każdą chwilą, zapomnieć o świecie, który nas otacza i o wszystkich ludziach dookoła?

- A więc myślisz, że powinniśmy działać pod wpływem impulsów, nie martwiąc się o to, co powiedzą inni?

- Tak! - Julie wydała głośne, dramatyczne westchnienie. - Przynajmniej tak by było, gdybyśmy żyli w doskonałym świecie.

Billy znów zaczął doświadczać gwałtownych wyrzutów sumienia. Wiedział, co zaraz zrobi, czuł, że nie powinien i... nic nie było w stanie go powstrzymać.

- Spróbujmy więc udawać, że żyjemy w świecie doskonałym, przynajmniej dopóki możemy - powiedział. Pochylił się nad zdumioną Julie i zaczął ją całować mocno, po desperacku, jakby był skazańcem spożywającym swój ostatni posiłek. Ten pocałunek pełny, głodny, głęboki uświadomił Julie, że otwiera się przed nią niezwykła kraina tajemniczych erotycznych przeżyć. Odpowiedziała na zew tak żywiołowo, że Billy nagle uczuł się pijany radością. Kręciło mu się w głowie, był trochę przestraszony i zły na siebie i chciał więcej,

więcej... To pragnienie zdawało się nie mieć końca. Chciał sobie wyobrazić, jak by wyglądało jego dalsze życie bez Julie i już nie potrafił. Przytuleni, spleceni w uścisku, złączeni pocałunkiem, a świat kręcił się wraz z nimi, czy może wokół nich...

Trwali jeszcze potem bez ruchu zapatrzeni w siebie nawzajem, zdumieni tym, co właśnie odkrywali.

- Hej, jazda się skończyła! - krzyknął do nich kilkunastoletni operator karuzeli, a na jego piegowatym obliczu pojawił się szeroki uśmiech. - I to już jakiś czas temu. Może raczej wynajmiecie sobie pokój?

Jazda się skończyła pomyślał Billy. Co za spostrzegawczy smarkacz.

- O mój Boże! - jęknęła Julie zawstydzona i oblała się rumieńcem. Zsiedli z karuzeli i poszli dalej, ale Billy nie był już taki beztroski. Uwagi i uśmiezek tego chłopaka zdecydowanie zepsuły mu humor.

- No to dokąd teraz pani rozkaże? - zapytał.

- Chodźmy tam, pod drzewo, gdzie jest miejsce na piknikowanie; możemy usiąść przy stole. - Julie odetchnęła głęboko, zbierając w sobie odwagę. - Chcę ci przedstawić pewną propozycję. Akurat mi to przyszło do głowy, coś w rodzaju nagłej wizji.

- O mój Boże! - jęknął Billy, jakby ją przedrzeźniał. - Nie rób mi żadnych propozycji. Jestem teraz w takim stanie, że mógłbym powiedzieć „tak”.

- Nic się nie bój! To nie jest żadna nieprzystojna propozycja. Za kogo mnie masz? - Julie uśmiechnęła się słodko, wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą. - Nie mogę się doczekać, żeby ci to powiedzieć. Marzyłam o tym przez całe życie, sama o tym nie wiedząc. No, nie bądź taki przerażony. To jest w pewnym sensie... interes.

Billy patrzył na nią dość podejrzliwie; Julie była jakoś nienaturalnie ożywiona, oczy jej lśniły. Chyba nie był to tylko skutek pocałunków na karuzeli. Tu musiało chodzić o coś więcej.

- Gdyby był tu twój brat - zapytał ostrożnie - czy ta propozycja mogłaby mu się spodobać?

- Gdyby mój brat był tutaj - odpowiedziała Julie - to chyba by dostał zawału serca albo padł trupem na miejscu, widząc, jak mnie całowałaś. Tym sposobem nie miałby okazji usłyszeć mojej propozycji, więc lepiej zostawmy mojego brata w spokoju, Billy.

- Nic nie rozumiesz; nie mogę nie przejmować się twoim bratem. Harris...

- Harris - przerwała mu Julie - jest teraz w Palm Beach, a my tutaj. Chyba masz jakąś obsesję na jego punkcie. On nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

Wyjawszy fakt, że mi płaci, pomyślał Billy. I że jego poznałem o wiele wcześniej niż ciebie.

- Mylisz się - rzekł.

- Masz rację - przyznała Julie - to nie było ładnie z mojej strony. Ja też nie chcę, żeby Harris się niepokoił i dlatego właśnie mam zamiar zaraz do niego zadzwonić i powiedzieć mu, że nie wracam do domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Billy wpatrywał się w nią z ustami otwartymi ze zdumienia. Drobnymi chuliganami i złodziejaskami, z którymi miewał do czynienia podczas swej pracy policyjnej, byli o wiele bardziej przewidywalni niż Julie Roper.

- Czy w tym względzie także liczysz na moją współpracę?
- zapytał w końcu.

Julie wyglądała tak, jakby zatrzymała się właśnie na skraju przepaści i za chwilę miała spróbować szczęścia w lataniu, od czego zależał jej dalszy los.

- Rozumiem, że zaskoczyła cię taka nagła zmiana moich planów, ale posłuchaj! Skoro i tak wyrwałam się na wolność, nie rozumiem, dlaczego nie miałabym tego o parę dni przedłużyć i nie zrobić sobie krótkich wakacji? Zbliżają się moje urodziny i... czuję, że trzeba mi trochę czasu, żeby coś przemyśleć. .. Odkładałam do tej pory pewne decyzje, ale... zresztą, ciebie to nie dotyczy. Krótko mówiąc, nie jestem jeszcze gotowa, żeby wrócić do domu.

- Dlaczego? Doskonale wiesz, że musisz wrócić do domu, bo tam jest twoje miejsce. Jakie decyzje? - dodał zupełnie już innym tonem.

- To sprawy osobiste - powiedziała Julie wymijająco, nie patrząc mu w oczy. - W każdym razie... teraz nie jest chyba najlepsza okazja, żeby ci o tym szczegółowo opowiadać; musisz mi w tej sprawie zaufać. Czemu tak spochmurniałeś?

- Moje nastroje nie mają teraz znaczenia. To ty chcesz nagle zrobić sobie wakacje, podczas gdy twój nadopiekuńczy brat pracoholik wyrywa sobie pewnie włosy z głowy i szaleje z niepokoju o ciebie. Chcesz go przedwcześnie wpędzić do grobu?

- Nie przesadzaj! Kocham przecież swojego brata i zdaję sobie sprawę, że się o mnie martwi. I dlatego właśnie... - Odetchnęła głęboko - ...chciałabym zaproponować ci pracę w

charakterze mojego ochroniarza. Nie, nie... posłuchaj mnie przez chwilę. Jestem z tobą całkowicie szczerą, mówiąc, że nigdy dotąd, jak żyję, nie byłam taka szczęśliwa jak teraz, nawet wtedy, kiedy się kłócimy. W moim środowisku nikt się z nikim nie kłóci. Kiedy wynika jakieś nieporozumienie, ktoś jest na kogoś zły, wtedy wzywają swoich prawników i załatwiają sprawę za ich pośrednictwem. Wszystko odbywa się w taki sposób.

- No, ładnie! - mruknął Billy pod nosem, bardziej do siebie niż do Julie. - Tego mi jeszcze brakuje! Bandy prawników na karku. - I dodał: - Twój brat ma pewnie całe zastępy prawników na swoje usługi?

- Tak. Nawet nie wiem, ilu. Tylko co to ma do rzeczy? Posłuchaj, kiedy wczoraj w nocy uciekłam z domu, naprawdę miałam zamęt w głowie... jeśli chodzi o rozmaite sprawy. Dzisiaj widzę, że już sporo zdążyło mi się poukładać, jakoś jaśniej teraz widzę swoją przyszłość. Jest parę rzeczy, które chciałabym zrobić, zanim wrócę do domu. Właściwie mam ich całą listę, tylko że nie na kartce. Gdyby Harris zobaczył przypadkiem taki spis, natychmiast dostałby zawału serca...

- Albo padł trupem na miejscu - dokończył Billy. - Mów dalej.

Julie rozejrzała się niepewnie dookoła, jakby bała się, że za którymś drzewem stoi przyczajony Harris i podsłuchuje ich rozmowę.

- Wszyscy traktują mnie tak, jakbym była ze szkła. Właściwie nie wiem, czy bardziej martwią się o mnie, czy o biednego, przewrażliwionego Harrisa. Tylko ty... Billy... Kiedy jestem z tobą, czuję się wreszcie zwyczajną, normalną kobietą, taką jak wszystkie inne.

Nie mogłabyś się bardziej mylić, pomyślał Billy.

- Zanim wrócę do domu, chciałabym zrobić parę rzeczy, których nigdy nie robiłam, a zawsze miałam na to ochotę.

Straciłam już nadzieję, że kiedykolwiek będę miała po temu okazję, ale teraz się to zmieniło. Ty nie starasz się nadskakiwać mi tylko dlatego, że mam dużo pieniędzy. Nie zdajesz sobie sprawy, jakie to cudowne uczucie przebywać w twoim towarzystwie. Przy tobie nie muszę uważać na każde swoje słowo i każdy gest. A poza tym masz doświadczenie w kontaktach z różnymi podejrzanymi typami, więc wspaniale będziesz się nadawał na mojego wakacyjnego opiekuna. Mogłabym przy tobie wspaniale wypocząć i jak najlepiej wykorzystać ten czas, który mi jeszcze został.

- Czas, który ci został? - Billy spojrzał na nią badawczo. - Co to, u licha, znaczy? Jesteś chora, czy coś w tym rodzaju?

- Nie. Niezupełnie. Po prostu... zbliża się pewien decydujący dzień.

Billy miał doświadczenie w przesłuchiowaniu podejrzanych, umiał wydobyć z nich prawdę; teraz poczuł wyraźnie, że Julie coś ukrywa, a sprawa jest poważna. - Co to za decydujący dzień, malutka? - zapytał łagodnie.

- Moje urodziny - odpowiedziała niepewnie.

- Jesteś jeszcze za młoda, żeby obawiać się urodzin. Dlaczego nie ułatwisz mi zdania i nie powiesz od razu wszystkiego? Przecież i tak wyciągnę to z ciebie prędzej czy później, musisz mi tylko zaufać.

- Ojej - Julie ciągle nie była pewna. - Nie mogłeś zostać pracownikiem biura podróży, a nie policjantem?

- No, wyduś to z siebie!

- Dobrze już, dobrze! Za tydzień od piątku skończę dwadzieścia trzy lata. Mam takiego przyjaciela, który uważa, że jest to dobra okazja, żeby... żeby... sprawy sformalizować. A przynajmniej podjąć takie obustronne zobowiązanie.

- Obustronne zobowiązanie? - Billy starał się ją dobrze zrozumieć. - Chodzi ci o zaręczyny? A potem ślub?

- Pytał mnie o to, jaki jest rozmiar pierścionków, które noszę. Wiedziałam, że to się zbliża, ale... wiesz, on jest naprawdę miły. Nazywa się Beauregard James Farquhar III. Nasze rodziny znają się od niepamiętnych czasów, Harris bardzo go lubi. - W tym momencie Julie uświadomiła sobie, że popełnia niewybaczalne faux pas. Dopiero kilka minut temu się z nim całowała, a teraz opowiada mu o Beau, o swoich urodzinach i o wynikających z tego ewentualnych komplikacjach. Jeśli nawet można by było załatwić to jakoś bardziej dyplomatycznie, to Julie nie miała pojęcia jak. - Harris bardzo go lubi - powtórzyła, jakby na swoją obronę.

A więc ten osiłek o wyglądzie oficera marynarki, którego Billy już widział, był dla niej jednak kimś więcej niż tylko przyjacielem.

- No, a Julie? - zapytał. - Czy Julie też bardzo lubi BoBo Trzeciego?

- On ma na imię Beau i oczywiście, że go lubię. On jest jak... jak biały chleb. Nie ma w nim nic, czego można by nie lubić. Wiesz, trudno mi z tobą o tym rozmawiać, szczególnie po...

- Po czym? Po kilku pocałunkach? Kochana, pocałunek to jeszcze nie jest formalne zobowiązanie. To nie jest nawet zapowiedź zaręczyn, które miałyby prowadzić do ślubu.

- Nie musisz być taki ironiczny. Sama wiem, że sytuacja jest trochę skomplikowana, ale jakoś sobie z tym wszystkim poradzę. Znam Beau od czasów niemowlęcych; moi rodzice znali jego rodziców, moi dziadkowie jego dziadków. Wszyscy zawsze uważali za oczywiste, że się w końcu pobierzemy. Dla Harrisa oznaczałoby to koniec jego rodzicielskiej opieki, jaką przez cały czas nade mną sprawuje; może wtedy sam jakoś ułożyłby sobie życie. On ma zaufanie do Beau i wie, że ten człowiek nigdy by mnie nie skrzywdził.

- No więc, u licha, wracaj do domu i wyjdź za Bo - Bo. Problem zostanie rozwiązany i wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie - odpowiedział lodowatym tonem. I pomyślał sobie: prawie wszyscy.

- Przestań go tak nazywać, dobrze? Wcale nie wiem, czy w ogóle chcę wychodzić za mąż. Jedyne, co wiem na pewno, to to, że nie chcę na razie wracać do swojego dotychczasowego życia. Nie wiem, kim jest ta dziwacznie ubrana dziewczyna, której przydarzają się ostatnio rozmaite przygody, ale chciałabym się tego dowiedzieć. Muszę się tego dowiedzieć, rozumiesz? I dowiem się tak czy owak, czy mi w tym pomożesz, czy nie.

- Siedź spokojnie - Billy wstał z miejsca i zaczął krążyć wokół stołu, usiłując za wszelką cenę zachować spokój. Wiadomość o istnieniu Bo - Bo Trzeciego zupełnie go zaskoczyła. Harris nic mu o nim nie wspominał i Billy założył, że Julie nie jest z nikim związana. Pewnie dlatego tak myślał, że wołał taką właśnie ewentualność. A poza tym, jeśli chodziło o płec przeciwną, zawsze dość łatwo zdobywał tę, na której mu zależało.

Starał się odzyskać równowagę i myśleć chłodno, rozsądnie, jak policjant. Po pierwsze, zaangażowany został po to, żeby pilnować Julie, a nie żeby się w niej zakochać. Po drugie, ona była już prawie zaręczona. Po trzecie, znał ją już dość dobrze, by wiedzieć, że wcale nie żartuje, mówiąc, że nie chce wracać do domu. Mógł teraz rozstać się z nią i niech sobie robi co chce, lub też towarzyszyć jej nadal i starać się ją chronić. Żadne z tych rozwiązań nie mogło spodobać się Harrisowi.

I cokolwiek by wybrał, i tak poniesie klęskę. Nie miał teraz czasu analizować swoich uczuć, wiedział jednak, że jako ochroniarz nie ma prawa angażować się emocjonalnie, a

ponadto, wywodząc się z nizin społecznych, nie wytrzymuje żadnej konkurencji z super rasowym Bo - Bo Trzecim.

Kiedy wreszcie przestał chodzić dookoła stołu i popatrzył na Julie, minę miał nieprzeniknioną i spojrzenie typowego gliniarza.

- Moje usługi sporo kosztują - oświadczył.

Julie wzdrygnęła się, zaskoczona. Z pewnością nie spodziewała się po nim takiej odpowiedzi; wytrzymała jednak tę próbę.

- W porządku. Ponieważ prawdopodobnie marnuję ci wakacje, więc niech ci się to chociaż opłaci. - Odczekała chwilę, czekając, że Billy wpadnie jej w słowo, zaprotestuje, powie, że dla niego to przyjemność. Niczego takiego się nie doczekała.

- A więc ostrzegłem cię. Z drugiej strony, jestem dobry w tym, co robię, więc twoje pieniądze zostaną dobrze wydane i Harris odzyska cię całą i zdrową. - Billy usiadł znów naprzeciw Julie i uśmiechnął się do niej. - Chciałbym tylko, żeby wszystko było zupełnie jasne... mam nadzieję, że to nie te pocałunki są przyczyną, że odkładasz powrót do domu. Bo to było tylko to, co było. Po prostu parę pocałunków. Wygląda na to, że ty i Bo - Bo jesteście dla siebie stworzeni. Ja istnieję poza tym całym układem, pomijając już fakt, że jestem tylko płatnym pracownikiem.

- Oczywiście, nie jestem dzieckiem - Julie spuściła oczy i wpatrywała się w swoje splecione dłonie, za wszelką cenę starając się nie pokazać, jak bardzo ją dotknęło to, co powiedział. - Przecież mówiłam ci od początku, że to ma być rodzaj interesu.

- I poinformujesz o tym wszystkim swojego brata?

- Oczywiście - przerwała. - Prawie o wszystkim. Jeżeli powiem mu dokładnie, dokąd chcę jechać, pojawi się tam i zaraz mnie zabierze. Uspokoję go tylko, że u mnie wszystko w

porządku i wynajęłam sobie kogoś do ochrony. Powiem mu, że wrócę za tydzień. To powinno wystarczyć.

- Nie sądzę - stwierdził Billy. - Nie sądzę, żeby w ogóle coś z tego zrozumiał. Ja też nie rozumiem. Czego ty szukasz, Julie? Czy jest jeszcze coś, czego nie masz?

- To nie chodzi o coś, co się ma - odpowiedziała cicho - tylko o to, czego się chce. To duża różnica.

Billy wzruszył ramionami, nie mogąc znieść widoku jej posmutniałej buzi i wiedząc, że on sam to spowodował. Przypomniało mu się, co mówiła jego matka, kiedy musiała go ukarać: Mnie zabolę to bardziej niż ciebie.

- Wszystko jedno. Dokąd więc mielibyśmy wybrać się na tę wycieczkę?

- Powiem ci w swoim czasie - odpowiedziała chłodno, postanowiwszy najwyraźniej żelazną ręką wziąć w karby swoje uczucia. - Płacę ci przecież. Tylko to ciebie w tym wszystkim pociąga, prawda? Pieniądze?

- No cóż, kiedy nie jest się bogatym, każda kwota ma swoje znaczenie - Billy z trudem zdobył się na nikły uśmiech.

- Wszystko jedno - powtórzyła mimo woli jego słowa i wstała z miejsca. - Znowu to samo - dodała enigmatycznie.

- O co ci chodzi? - nie zrozumiał Billy.

- Znowu jestem inna. Od czasu do czasu zdarza mi się pomylić i sądzę, że jestem zwyczajną osobą, taką samą jak wszyscy ludzie dookoła. Zaraz jednak w dotkliwy sposób uświadamiam sobie, jaka jestem cenna i wartościowa. Teraz chcę zadzwonić do Harrisa, a potem do linii lotniczych, zamówić dla nas bilety. Przez ten czas może poszedłbyś do recepcji, bo musimy się wymeldować.

Ostatnie zdanie było niewątpliwie dyspozycją służbową, z jaką pracodawca zwraca się do pracownika. Billy pozostawił to bez komentarza, pozwolił jej na tę małą chwilę przewagi. Widział wyraźnie, że ta kobieta - dziecko, o lśniących oczach,

za wszelką cenę chce ukryć swój ból i w ten sposób odreagowuje. Niestety, nie mógł jej teraz pocieszyć, nie mógł też niczego jej wytłumaczyć, aby jeszcze bardziej nie pogorszyć sprawy. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to spełnić jej polecenie i wymeldować ich z motelu.

- Tak, proszę pani - wyprężył się, jakby przyjmował rozkaz. - Coś jeszcze?

- Tak - Julie nie była w nastroju do żartów. - Przy okazji dowiedz się w recepcji o numer tutejszej policji. Trzeba będzie im dać znać o kradzieży mojego porsche. - Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Billy znacznie lepiej niż Julie zdawał sobie sprawę z tego, co się między nimi dzieje. Nie mógł, niestety, hołdować jej romantycznym fantazjom, bez względu na to, jak bardzo byłoby to dla niego pociągające. Mało mu zależało na tym, co stanie się z nim samym, miał jednak na uwadze dobro Julie. Teraz nie miało to już nic wspólnego z pieniędzmi czy jego etyką zawodową.

Teraz była to sprawa osobista.

Julie zarezerwowała bilety lotnicze dla nich obojga na nazwisko Billy i Julie Roper. Zupełnie zapomniała, że nawet nie wie, jak Billy naprawdę się nazywa. Dziwne... nawet nie przyszło jej do głowy, żeby go o to zapytać. Na razie on był Billy, a ona Julie. Nieważne były ich nazwiska, życiorysy, przeszłość i przyszłość. Liczyła się tylko teraźniejszość, tak było najlepiej.

Na lotnisku zwrócili samochód Billy'ego, który był wypożyczony i weszli na pokład samolotu prawie w ostatniej chwili. Julie miała ze sobą tylko plastikową torbę z Zakątką Gator i reklamówkę z sukienką od Versacego w środku.

Jej nastrój zmienił się, przechodząc od niepokoju przez lęk aż do pełnej podniecenia ciekawości. Była też zdumiona faktem, że zdobyła się na realizację swego szalonego planu.

Nie miała pojęcia, co w związku z tym może odczuwać Billy, on jednak siedział przy niej prawie się nie odzywając, a Julie nie chciała go pytać.

W rzeczywistości Billy czuł się dość rozbity. Tuż przed odlotem zdołał dodzwonić się do Harrisa; poszedł na chwilę do męskiej toalety i tam zadzwonił z telefonu komórkowego. Połączenie jednak trwało tylko przez moment, potem wysiadły baterie. Krótko poinformował Harrisa, co się dzieje, ten jednak nie miał już okazji odpowiedzieć, Billy dosłyszał tylko dwa słowa: „cholera” i „natychmiast”.

- Dlaczego nic nie mówisz? - zapytała w końcu Julie, kiedy lecieli na wysokości dziesięciu tysięcy metrów.

- Nie miałem zamiaru wracać do Kalifornii. Mam jeszcze dwa tygodnie urlopu. A poza tym dlaczego lecimy akurat do Los Angeles?

- Mamy posiadłość w San Clemente, pomyślałam, że to może być dobry punkt zaczepienia - odpowiedziała Julie z ulgą, że zaczynają znowu normalnie rozmawiać.

- Punkt zaczepienia?

- No, raczej punkt wyjścia! - Julie mówiła z ożywieniem, z płonącymi oczami. - Podczas tej wyprawy tam możemy się zatrzymać. To będzie nasza baza. Byłam tam tylko dwa razy, ale pamiętam, że dom jest wygodny i dobrze położony. Podobno w Kalifornii można znaleźć wszystko, czego tylko dusza zapragnie.

- No, a Harris? Nie pomyślałaś, że prędzej czy później przyjedzie cię tam szukać?

Julie zastanawiała się nad tym przez chwilę, marszcząc czoło. Właściwie taka ewentualność nie przyszła jej do głowy, teraz postanowiła jednak, że decyzji nie zmieni i tak, niech się dzieje, co chce; przez najbliższe siedem dni będzie wolną kobietą.

- Co on powiedział, kiedy do niego zadzwoniłaś? - Billy już dawno chciał ją o to zapytać. - Czy powiedziałaś mu coś o mnie? - Ciekaw był, czy Harris za pośrednictwem FBI zdążył już wysłać za nim list gończy.

- Oczywiście. Był trochę... zdenerwowany, kiedy powiedziałam, że chcę zrobić sobie małe wakacje, więc starałam się go uspokoić; powiedziałam mu, że wynajęłam sobie kogoś do ochrony, kto będzie ze mną dzień i noc.

- No i co on na to?

- Nie wiem - odparła Julie szczerze. - Powiedziałam mu, że połączenie jest złe i odłożyłam słuchawkę. Zadzwonię do niego znowu za jakieś dwa dni.

Billy miał poczucie, że się dusi i chętnie użyłby zaraz maski tlenowej. Takie maski przygotowane były dla wszystkich pasażerów do użycia w razie nagłego wypadku. W ciągu ostatnich dwóch dni, w jakiś niewytłumaczalny dla siebie sposób, Billy stracił praktycznie kontrolę nad swoim życiem. Teraz podporządkowywał się zachciankom Julie, z trudem utrzymując niezależność i samokontrolę.

- Jestem tu, żeby cię chronić - powiedział - co oznacza również, że muszę zadbać o bezpieczeństwo miejsca, gdzie będziesz przebywać. Jeśli twój brat jest tak opiekuńczy, jak mówisz, to na pewno zaraz wyśle kogoś, kto sprawdzi, czy nie jesteś w San Clemente. Mam lepszy pomysł - odwrócił się do niej i po raz pierwszy od rozpoczęcia tego lotu spojrzał jej w oczy. - Mój przyjaciel ma domek weekendowy w Laguna Beach, dał mi klucz i mogę korzystać z tego domu, kiedy tylko przyjdzie mi ochota na małe wakacje. Czy to cię zadowoli jako baza do realizacji twoich tajemniczych planów, jakiegokolwiek by one były?

- W Laguna Beach? Nigdy jeszcze tam nie byłam. Jak tam jest?

- Cóż, ten domek na pewno nie jest tak luksusowy, jak twoja rezydencja w San Clemente. Jest malutki, zbudowany na zboczu wzgórza wznoszącego się ponad plażą. Ale sama miejscowość powinna ci się spodobać. To barwna, pełna życia kolonia artystów. Jest tam trochę jak w wesołym miasteczku, czynnym przez cały czas, na okrągło.

- Jak w wesołym miasteczku? - twarz Julie rozbliżyła, dziewczyna obdarzyła Billy'ego tak promiennym uśmiechem, że zrobiło mu się ciepło na sercu. - Naprawdę? To wspaniale! Tylko czy twój przyjaciel nie będzie miał nic przeciwko temu? A może właśnie tam jest?

- Colin jest gliniarzem, obecnie bez reszty zaangażowanym w sprawę o morderstwo. Głowę dam, że go tam teraz nie ma, a tak czy inaczej, wołałbym raczej spotkać się z nim, niż z Harrisem. Colin jest świetnym kompanem. Muszę was kiedyś sobie przedstawić. - W tym momencie ugryzł się w język i zamilkł. - Albo nie; chyba zapomniałem w jakiej roli tu jestem, prawda?

- To śmieszne - Julie poklepała go po ramieniu, niczego nie pragnąc bardziej, jak zburzyć ten niewidzialny mur, który zdążył między nimi wyrosnąć. - Przepraszam, że byłam przedtem dla ciebie taka niemą. Zapomnij o tym, dobrze? - powiedziała zawstydzona. - Przy tobie, niestety, wychodzą na jaw różne złe cechy mojego charakteru.

- Spróbuję - Billy przywołał na twarz coś na kształt uśmiechu. - Mamy spędzić ze sobą sporo czasu, więc obiecuję zachowywać się najlepiej, jak umiem.

- Będziemy udawać, że dopiero się poznaliśmy, a ja postaram się nie zapominać tego wszystkiego, czego mnie uczyli na kursach dobrego wychowania. Zasada pierwsza: kiedy poznajesz nowych ludzi, nie mów o sobie. Zamiast tego zapytaj o ich pochodzenie i zainteresowania. A więc, skąd pochodzi twoja rodzina?

Twarz Billy'ego nagle jakby skamieniała.

- Moja rodzina? No, teraz strzeliłaś gafę. Czy nie uczyli cię przypadkiem na tych kursach, że niektórzy ludzie mogą nie mieć ochoty na tego rodzaju zwierzenia?

Julie bezradnie wzruszyła ramionami, nie mając pojęcia, co w jej pytaniu mogło go tak bardzo urazić. Chciała przecież jak najlepiej...

- Julie Roper? - odezwał się niespodziewanie tuż nad nimi jakiś afektowany głos; oboje jednocześnie odwrócili głowy. Tuż koło nich, w przejściu, stała jakaś kobieta.

- Nie wierzę własnym oczom - powiedziała Julie raczej mało entuzjastycznym tonem. - Marie Claire. Co za okrop... cudowna niespodzianka. Kto by pomyślał, że można się spotkać tak nagle, niespodziewanie, na wysokości kilku tysięcy metrów.

Billy omiół Marie Claire szybkim, taksującym spojrzeniem. Sklasyfikował ją jako bogatą, wścibską i egzaltowaną przedstawicielkę tzw. high - life'u; była ruda i na oko sądząc, dobiegała około czterdziestki.

- Kochanie - zachłystywała się Marie Claire i pochyliwszy się, pocałowała powietrze gdzieś koło ucha Julie - moja słodka, urocza dziewczyno, co się stało, że nie podróżujesz pierwszą klasą? Obejrzałam się i nagle zobaczyłam ciebie. Czy to możliwe, żeby to była Julie Roper, pomyślałam. Uznałam, że najlepiej będzie podejść i się z tobą przywitać. Gdybym wiedziała, że lecisz tym samym samolotem, namówiłabym cię, żebyś usiadła z nami. Chyba że jesteś w towarzystwie? - Spojrzała badawczo na Billy'ego. - Czy to twój nowy przyjaciel?

- Jak się masz, Marie Claire? - Julie postanowiła zignorować jej pytanie. - Czy lecisz razem z Louistem?

- Ach nie, kochanie! - Marie Claire afektowanym gestem przycisnęła dłoń do serca. - Możesz mi tylko współczuć.

Podróżuję w towarzystwie Danielle Devereaux. Wyobrażasz sobie? Uwierzysz mi, że ona przez cały czas nie przestaje mówić? Właśnie zorganizowała u Gallo w Los Angeles wystawę obrazów jakiegoś artysty, którym się ostatnio opiekuje i jedziemy na wernisaż. Koniecznie też musisz na nim być.

Po czym rozciągając w sztucznym uśmiechu swe wymalowane usta, dodała:

- Oczywiście możesz przyprowadzić, kogo będziesz chciała. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam. A pan to zapewne...

Billy, czując, że afektacja tej kobiety wywołuje u niego mdłości, chciał jak najszybciej zakończyć tę scenę.

- Nazywam się Billy. - Kiedy czekała, chcąc usłyszeć jego nazwisko, popatrzył na nią tępo i w końcu zapytał grubiańsko: - No co? Czy mam coś paskudnego na twarzy, że tak mi się pani przygląda?

- Ależ skąd, oczywiście że nie. - Kobieta zachichotała niepewnie i tym razem zwróciła się do Julie. - Czyż on nie jest zabawny? Od dawna się znacie?

- Poznaliśmy się w samolocie - odparła Julie szybko. - Podróżuję sama.

- Ach, tak, oczywiście - rzekła Marie Claire z widoczną ulgą. - Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Beau jest przecież prawdziwym skarbem i tak doskonale do siebie pasujecie. Pewnie czeka już na ciebie niecierpliwie w Los Angeles?

- Nie.

- A zatem jest tam Harris?

- Nie. Lecę tam, żeby zrobić zakupy i jak najszybciej wracam. Wiesz, jak to jest, kiedy ma się ze sobą mężczyznę. Przy takiej okazji tylko by zawadzał. Miło było cię spotkać. Przekaż pozdrowienia Danielle.

- Dziękuję, przekażę! W takim razie do zobaczenia szesnastego. Twoje przyjęcie urodzinowe na pewno będzie wspaniałe. W tych sprawach Harris zawsze staje na wysokości zadania, prawda? Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę, kochanie. - I, nachylając się do ucha Julie, dodała teatralnym szeptem: - Kochanie, muszę ci pogratulować. Twój strój jest... absolutnie oryginalny. Trochę frywolny i taki zabawny! Czy odkryłaś nowego projektanta?

Julie spojrzała na swój strój z Zakątka Gator i powstrzymała uśmiech. - Tak, ale trzymam jego nazwisko w sekrecie. Tak trudno jest znaleźć coś atrakcyjnego.

- Masz prawo, kochanie - powiedziała z fałszywą słodyczą Marie Claire. - Niech więc to pozostanie twoją tajemnicą. W przeciwnym razie wszyscy wkrótce ubrani byłiby podobnie. Wtedy przestałoby to być zabawne, prawda? No to pa! Szczęśliwej podróży do domu.

Kobieta godnym krokiem oddaliła się w stronę pierwszej klasy.

- No i czy to nie jest pech? - powiedziała Julie, siłąc się na beztroski ton. - Tyle samolotów lata do Los Angeles i akurat musieliśmy trafić na ten, którym leci też Marie Claire!

- Ależ to musiało być dla ciebie przeżycie, kochanie - odpowiedział Billy, przedrzeźniając sposób mówienia Marie Claire. - Pierwszy raz w życiu podróżujesz klasą turystyczną i od razu spotykasz znajomą. A na dodatek siedzisz z facetem, który nawet nie zasługuje na to, żeby go przedstawić, prawda?

- Jak miałam cię przedstawić? Przecież nawet nie wiem, jak brzmi twoje nazwisko.

- Wszystko jedno! Czy wolisz, żebym się przesiadł gdzie indziej, kochanie?

- To nie moja wina. Gdybym jej powiedziała, że jesteśmy razem, pożarłaby cię jak sardynkę. Marie Claire musi o wszystkich wszystko wiedzieć; usiłowałam cię przed tym

uchronić, nie mówiąc już o tym, że chciałam jak najszybciej się jej pozbyć.

- No i oczywiście nie ma to nic wspólnego z Bo - Bo, prawda?

Julie bezradnie wzruszyła ramionami.

- Tak się składa, że to była właśnie... ciotka Beau. Sądziłam, że lepiej spraw zanadto nie komplikować, ze względu i na ciebie, i na Beau.

- Po prostu chcesz chronić swojego Bo - Bo - mruknął Billy. - Tylko nie waż się mierzyć mnie tą samą miarką. Ja w niczym nie przypominam ludzi z twojej sfery.

- Wiem. Dlatego tu jestem, Billy - szepnęła Julie.

W jej drżącym głosie było tyle uczucia, że i Marie Claire, i Bo - Bo przestali się nagle liczyć. Zapragnął jej tak mocno, jak niczego i nikogo na świecie i wzrokiem zatonął w jej oczach. Jego złość, gniew, zdenerwowanie nie miały w tej chwili znaczenia, ważna była tylko ta siła, która nim owładnęła.

- Lucas - powiedział miękko.

- Co? - nie zrozumiała Julie.

- Moje nazwisko... brzmi Lucas.

Mieli przed sobą szereg dni, które miały być bardzo trudne i Billy dopiero teraz w pełni to poczuł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy wylądowali w Los Angeles, było już dawno po zachodzie słońca. Po Julie widać było stres ostatnich dwóch dni. Szła posłusznie tam, gdzie Billy ją prowadził, i odetchnęła z ulgą, gdy wsiedli do samochodu, który wynajęli na lotnisku.

- Szkoda, że jest ciemno - westchnęła z dyskretnym ziewnięciem. - Tak bardzo chciałabym wszystko zobaczyć. Kiedy jestem w Kalifornii, to na ogół oglądam tylko wnętrze limuzyny i tył głowy szofera. No i centrum handlowe Los Angeles. Jutro rano koniecznie muszę kupić sobie jakieś ubrania i trochę kosmetyków. Powinam też kupić aparat fotograficzny. Chcę fotografować tu absolutnie wszystko.

- Znakomicie. Już wiesz, od czego zacząć - odpowiedział Billy z ledwie wyczuwalną ironią.

- No, a skoro już mowa o ubraniach - Julie popatrzyła na niego ze zdziwieniem - to gdzie są twoje rzeczy? Nie masz ze sobą żadnego bagażu.

To dlatego, że wszystko zostało w twoim domu, na Florydzie, Julie.

- Podczas pobytu tutaj mogę nosić ubrania Colina. Moje bagaże zostały w Miami.

Na szczęście Julie była zbyt zmęczona, żeby go wypytywać o szczegóły, w których Billy mógłby się pogubić; na przykład, w którym hotelu mieszkał w Miami, co zrobiał z jego rzeczami, kiedy on przez wiele dni się po nie nie zgłosi, i tak dalej. Billy wdzięczny był jej wdzięczny, że tego nie dociekała, choć i tak zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później odpowie za każde swoje kłamstwo.

- No, dobrze - powiedziała Julie. - A co z tym twoim przyjacielem, Colinem? Pracujecie razem?

- Pracowaliśmy - Billy chętnie podjął ten, trochę bezpieczniejszy, temat. - Jakies dwa miesiące temu Colin

został zdegradowany, bo podczas jednej z akcji antynarkotykowych trochę go poniósł temperament. Teraz znowu grzecznie, w mundurku, patroluje ulice i ma już tego serdecznie dość.

- Czy jesteście bliskimi przyjaciółmi?

- Jesteśmy prawie jak bracia i temperament też mamy podobny. I nawet zgodziliśmy się co do tego, że gdybyśmy nie wybrali służby w organach ścigania, pewnie byliby z nas całkiem niezli przestępcy.

- Co ty mówisz? - Julie udała, że jest wstrząśnięta.

Dalsza rozmowa nie bardzo się jednak kleiła, Julie bowiem była tak zmęczona, że głowa opadała jej raz po raz w półśnie, a w końcu usnęła na dobre.

- Jesteśmy na miejscu śpiąca królewno, obudź się. Siedzieli w samochodzie przed drzwiami do garażu, nic więcej na razie nie było widać.

Billy wyjaśnił, że główna część domu nadbudowana jest nad garażem. Julie trudno było zrozumieć, że drzwi garażowych nie obsługuje tu fotokomórka, lecz że trzeba wysiąść i otworzyć je samemu, zrobiła to jednak z ochotą.

- To wcale nie było takie trudne - oświadczyła z triumfalnym uśmiechem, ciesząc się jak dziecko. - Może jednak mam predyspozycje, żeby zostać zwyczajną kobietą?

- Raczej nie - mruknął Billy pod nosem, nie odrywając od niej zachwyconych oczu. Dziewczyna pełna była nowej energii, a jej uśmiech zapadał mu głęboko w serce. Ta poszukiwaczka przygód przyjechała do Kalifornii tylko w tym, co miała na sobie, i nie posiadała praktycznie niczego poza sukienką wizytową, w której wyszła z domu i szczoteczką do zębów z Zakątka Gator. Jego wzrok zatrzymał się na chwilę na delikatnym zarysie piersi pod krótką koszulką, odsłaniającą brzuch.

Zostawili samochód w garażu i po schodach weszli do wnętrza domu; Billy pierwszy, Julie za nim. Pomieszczenie na pierwszej kondygnacji nie było duże, ale przytulne; stanowiła je kuchnia połączona z jadalnią i salonikiem. Na szczęście, wnętrze sprawiało wrażenie, jakby Colin wynajął niedawno kogoś do sprzątania, dywan wyglądał nieskazitelnie, poduszki na sofie były starannie poukładane, w powietrzu unosił się jeszcze sosnowy zapach środka czyszczącego. Zwykle, kiedy właściciel domku był tu obecny, wszędzie poniewierały się puszki po piwie, pudełka po pizzy i gazety.

Duże szklane drzwi prowadziły na drewniany taras, skąd roztaczał się widok na ocean. Julie dostrzegła tu jeszcze hamak i kilka wiszących koszy z kwiatami.

- Dzisiaj niebo jest zachmurzone, więc dużo nie zobaczysz - odezwał się Billy, widząc, że Julie stoi zapatrzona w połyskujący w mroku ocean za oknem. Ale jeśli chcesz, moglibyśmy przejść się po plaży...

- Rano - uśmiechnęła się do niego Julie. - Zapomniałam, że kiedy ja spałam, ty przez cały czas prowadziłeś samochód. Gdzie będziemy... Gdzie będziesz spał? A gdzie ja?

Rozbawiony jej ostrożnością, Billy zaprowadził ją na poddasze, gdzie znajdował się pokój gospodarza i łazienka. Pokój utrzymany był w kolorach beżu, czerni i bieli i, podobnie jak piętro niżej, były tu duże balkonowe drzwi prowadzące na taras. W łazience znajdowało się ogromne jacuzzi i świetlik z witrażem.

- Tylko jedna sypialnia? - mruknęła Julie. Nie trzeba było żadnego wysiłku, by zgadnąć, o co jej chodziło, miała to nieomal wypisane na twarzy.

- Na dole jest sofa, która się rozkłada i doskonale można na niej spać - uspokoił ją Billy. - Jest tam też łazienka dla gości, więc ty tutaj będziesz całkowicie niezależna. Obawiałaś się, że będziesz miała ze mną jakiś problem?

- Gdybym tak myślała, to by mnie tu teraz nie było - odpowiedziała Julie. Było to zdumiewające, ale naprawdę miała wrażenie, jakby znali się od nie wiadomo jak dawna. Mieli ze sobą jakiś szczególny kontakt, co nie zdarzyło jej się jeszcze z nikim innym do tej pory. Billy zdążył już dowieść, że jest dżentelmenem, w znacznie wyższym stopniu niż wielu zajętych sobą osobników z wyższych sfer, których przedstawiał jej Harris. Tamci byli przedwcześnie dojrzały, skoncentrowani na kwestiach finansowych, nie potrafili odróżnić „mieć” od „być”.

Billy natomiast, który z racji swego zawodu niewątpliwie poznał najciemniejsze strony życia, zdołał jednak zachować dzieciinną bezpośredniość i łagodność. Przy tym był niewątpliwie bardzo męski, a co szczególnie ważne, miał dobre serce; Julie widziała to wyraźnie.

Uśmiechnęła się do niego i już nie mogła oderwać od niego wzroku. Coś bardzo intensywnego znów powstało pomiędzy nimi, jakaś niewypowiedziana ciekawość i oczekiwanie... czegoś, co mieli właściwie w zasięgu ręki. Cokolwiek miało się zdarzyć, mogło się zdarzyć... ale jeszcze nie teraz.

- To był wyczerpujący dzień - odezwał się Billy dziwnie napiętym głosem. - Pójdę już, a ty się połóż. Niczego więcej nie potrzebujesz?

Dziwne, pomyślała Julie, wciąż na niego patrząc. Mimo całego dostatku, w jakim żyła, do tej pory, nieustannie gnębiło ją poczucie jakiegoś nieokreślonego braku, tęsknoty za czymś niezwykle istotnym, czego nie można znaleźć, kupić ani pożyczyć. A teraz, stojąc twarzą w twarz z tym człowiekiem, którego знаła zaledwie od dwóch dni, uświadomiła sobie, że ta dręcząca pustka w głębi jej duszy została w tajemniczy sposób wypełniona.

- Nie, dziękuję - rzekła. - Mam wszystko, czego mi trzeba.

Billy kiwnął głową i jakoś ociągał się z odejściem. Nie był zadowolony z tego, że przez następne kilka godzin jej nie zobaczy, chciał więc przed wyjściem nasycić oczy jej widokiem.

- A może masz ochotę na szklanekę ciepłego mleka? Chociaż wątpię, żeby Colin miał w lodówce mleko. Musiałbym sprawdzić.

- Skończyłam z mlekiem, jak miałam cztery lata, ale dziękuję za troskliwość.

- No to w takim razie pozostaje mi tylko życzyć ci dobrej ...

- Ręce do góry i to już! Nie oddychać, nie odwracać się! Ręce do góry!

Te wezwania pochodziły od kogoś trzeciego, kto oprócz nich znalazł się w pokoju, a Billy Lucas, doświadczony policjant, niczego nie usłyszał.

Instynktownie sięgnął po broń, ale przecież nie miał jej teraz przy sobie. Julie krzyknęła i chciała uciekać, lecz zaraz zastygła nieruchomo i posłusznie podniosła ręce do góry.

W drzwiach stał jakiś mężczyzna z pistoletem skierowanym w ich stronę.

Głos wydał się Billy'emu znajomy.

- Colin? - wykrzyknął zdumiony.

- Lucas?

Julie wodziła wzrokiem od jednego do drugiego zaczynało jej kręcić się w głowie.

Intruz, blondyn o nastroszonych, krótkich włosach, wyglądał na zawiedzionego; opuścił broń i podniósł do ust puszkę z piwem.

- Cholera, już myślałem, że będzie zabawa - stwierdził. - Co za wstyd.

- Co ty tu, u diabła, robisz? - Billy odwrócił się na pięcie, z taką miną, jakby miał ochotę zamordować swego najlepszego przyjaciela. - Przecież prawie nigdy tu nie przyjeżdżasz. zdajesz sobie sprawę, że o mało mnie nie zastrzeliłeś?

Blondyn znowu wypił łyk piwa, a na jego twarzy, w jednej sekundzie, wyraz groźby zmienił się w rozbawienie.

- No, ale cię nie zastrzeliłem, a jeśli idzie o ścisłość, to ty strzelasz do ludzi, ja ich tylko straszę. - Badawczym spojrzeniem obrzucił Julie, która najwyraźniej przypadła mu do gustu. - A może jednak powinienem był cię zastrzelić, Lucas? - rzucił żartobliwie. - Powiedz, kim jest twoja piękna przyjaciółka?

- Czy mogę opuścić ręce? - zapytała Julie słabym głosem.

- Oczywiście! Bardzo za to wszystko przepraszam.

Julie usiadła na brzegu łóżka. W ciągu ostatnich paru minut tyle się zdarzyło, że nie potrafiła tak od razu uspokoić wzburzonych emocji. Oni obaj, Billy i napastnik, który najwyraźniej był jego przyjacielem, Colinem, jak widać umiejętnie balansowali na granicy życia i śmierci. Chwilę śmiertelnego zagrożenia za moment potrafili obrócić w żart. Czy tak normalnie wyglądało ich życie?

W Palm Beach byłoby to nie do pomyślenia.

- Przepraszam, jeszcze nigdy nikt nie celował do mnie z pistoletu - powiedziała. - Muszę ochłonać, zanim będę mogła się z tobą przywitać, Colin. Wybacz mi, proszę.

- Ona jest z wyższych sfer - zauważył Colin z uśmiechem.

- Lucas, ty nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać.

- Potem zaś zwrócił się do Julie: - Miło mi cię poznać. Jestem Colin Spears, twój nowy przyjaciel. Naprawdę bardzo przepraszam za ten pistolet; na ogół nie używam broni wobec kobiet.

Billy poczuł, że ogarnia wściekłość, Colin z miejsca zaczynał flirtować z Julie. Krew w nim zawrzała.

- Przystopuj, bracie - warknął przez zaciśnięte zęby. - Ona jest nie dla ciebie, rozumiesz?

- Tak, Billy - odpowiedział Colin pokornie. - Przepraszam, Billy. Myślałem, że jesteś włamywaczem.

- To o co chodzi z tym piwem? - wrzasnął Billy. - Myślałeś, że ktoś włamał ci się do domu, ale zdążyłeś po drodze wziąć sobie z lodówki piwo?

- Tak, bardzo chciało mi się pić.

Billy przyklęknął na dywanie przy Julie. - Ten wariat to właśnie Colin Spears. Stukę go na kwaśne jabłko, jak tylko pójdziesz spać, ale powiedz maleńka, nic ci nie jest?

- Nie, nic - odparła wciąż nieswoim głosem, lecz nagle oczy jej się zaświeciły. - To było prawie jak napad, prawda?

- Ależ ona jest rasowa! - mruknął z zachwytem Colin.

- Chyba jednak cię zastrzełę, Lucas, bo chcę ją mieć dla siebie. A skąd masz ten okropny samochód, który stoi w garażu?

Billy uświadomił sobie, że ta rozmowa może stać się irytująca i niebezpieczna. Colin był już trochę podпиты, a tym stanie bywał dość gadatliwy. Billy bardzo się obawiał wszelkich komentarzy na temat jego firmy ochroniarskiej, przedwczesnego odejścia z policji, wszelkich szczegółów, które mogłyby kłócić się z historyjką o „wakacjach” na Florydzie, jaką wymyślił na użytek Julie. Należało przerwać ją jak najszybciej, zanim Colin zdąży powiedzieć coś, co wzbudzi podejrzenia Julie.

- Jesteś bardzo zmęczona - zwrócił się do niej. - Zabiorę teraz stąd Colina, żebyś mogła się wreszcie położyć.

- Ale to przecież jego dom. Skoro jest tutaj, my pewnie powinniśmy pojechać do motelu, Billy.

- Nie, nie powinniśmy - odparł, rzucając przy tym Colinowi spojrzenie, które momentalnie miało mu wybić z głowy jakiegokolwiek protesty. - Colin chciał tu tylko przenocować. On nigdy nie zatrzymuje się nigdzie na dłużej.

- Naprawdę? - Colin wytrzymał jakoś groźne spojrzenie przyjaciela i teraz wyrażał swoje rozczarowanie. - A ja myślałem, że zostanę tu przez tydzień. Musiałem się pomylić.

- To prawda, Colin. Musiałeś się pomylić - rzucił Billy, nie odrywając wzroku od Julie, która wciąż była blada i przestraszona. - Jak zejdziemy na dół, wytłumaczę ci, jak bardzo. Julie, spróbuj teraz usnąć. Przepraszam cię za tego niepożądanego gościa.

- Ona ma rację! To jest mój dom - jęknął Colin, który wciąż jeszcze miał w ręce pistolet. - Jak śmiesz mówić, że jestem niepożądanym gościem?

- Bądź cicho, Colin! Wypij lepiej to piwo. - I zwracając się do Julie, dodał: - Porozmawiamy o tym wszystkim rano, dobrze? Gdybyś czegoś potrzebowała, ja będę na dole.

- Ja też! - dorzucił Colin.

- Dobranoc, Julie - Billy chętnie dodałby jeszcze dużo więcej, ale nie teraz, nie w obecności Colina, który zdecydowanie mu tutaj przeszkadzał i którego jak najszybciej należało się pozbyć.

- Dobranoc, aniołku. Niech ci się słodko śpi w moim łóżku - dodał Colin. - A jutro wybierzemy się na lunch, tylko my we dwoje.

- Akurat! - Billy nieomal siłą wyciągnął go z pokoju. Na szczęście był wyższy, silniejszy i nie sprawiło to specjalnego kłopotu, więc Colin już się nie opierał.

Kiedy w końcu wyszli, zamykając za sobą drzwi, Julie siedziała jeszcze przez chwilę oszołomiona, nie bardzo wiedząc, w jakim świecie się znajduje.

Ta przygoda zaczynała przekraczać jej wyobrażenia. Działo się coś, nad czym nie miała już żadnej kontroli.

Siedzieli obaj w saloniku na sofie, popijając piwo, i Billy w możliwie najoszczędniejszych słowach starał się wyjaśnić przyjacielowi układ Julie - Harris - Billy, mając nadzieję, że kumpel nie będzie go zanadto wypytywał.

- To po prostu taka praca i nic poza tym - zakończył. - Więc postaraj się za dużo nie gadać, żebyś mi nie narobił kłopotu. Zarabiam teraz o wiele więcej niż wtedy, kiedy na każdym kroku trzeba było nadstawiać głowę.

- No to fajnie się urządziłeś - mruknął Colin. - Forsa leci i od braciszka, i od aniołka, który teraz słodko lula w moim łóżku. Nieźle!

Colin znał Billy'ego od bardzo dawna. Kiedy przyszedł do policji, Billy już cieszył się zasłużoną sławą pogromcy bandytów w Oakland, słynnego z odwagi i brawury w akcjach. Lubił wtedy powtarzać: „Przecież i tak wszyscy umrzemy, po prostu niektórym z nas zdarza się to wcześniej niż innym”.

Niestety, pewien cynizm i postawa „niegrzecznego chłopca”, które uczyniły zeń policjanta - legendę, w życiu codziennym jakoś nie bardzo się sprawdzały.

- Ale z ciebie drań - zauważył od niechcienia Colin, otwierając kolejną puszkę piwa, mającą uświetnić ich dzisiejsze spotkanie. - Chodzi mi o to, że okłamujesz mnie, a nie tę panienkę na górze. To znaczy, okłamujesz i ją, i mnie, z tym że ja o tym wiem.

No tak, pomyślał Billy, mogłem się spodziewać, że Colin mnie przejrzy; zbyt dobrze nawzajem się znamy.

- Nie chcę rozmawiać o Julie. Jeśli wiesz, o co chodzi, to daj mi spokój.

Wiele innych osób zraziłby ton Billy'ego, Colin jednak nie rezygnował tak łatwo.

- Nie wiem - powiedział.

- Żeby nie musiał cię zabić - rzucił Billy, pół żartem, pół serio.

- Myślałem, że po latach wspólnej pracy w tajnych służbach, niczym nie będziesz mnie już w stanie zaskoczyć, a jednak myliłem się. W tobie, odznaczony w bojach przyjacielu, obudziło się sumienie. I nie tylko to...

- Oj, nie igraj z ogniem, bracie.

- Przestanieś mi wreszcie grozić? Jeśli idzie o ścisłość, to z nas dwóch ja jestem uzbrojony. Aha, o czym to ja mówiłem? Więc nie tylko obudziło się w tobie sumienie, ale i serce daje o sobie znać. Zadurzyłeś się w niej, prawda? Nie przypuszczałem, że dożyję dnia, kiedy to zobaczę.

- Znam ją dopiero od dwóch dni.

- A jak długo ją obserwowałeś? - Colin mrugnął do niego porozumiewawczo.

Billy westchnął. To była właśnie gorsza strona posiadania przyjaciół. Nic się przed nimi nie ukryło. Taki przyjaciel jak Colin potrafił go przejrzeć na wskroś.

- Obserwowałem Julie Roper przez trzy tygodnie, trzy dni i mniej więcej... - zerknął na zegarek - sześć godzin i dwadzieścia minut.

- Oto jak upadają imperia. - Ostatni ślad rozbawienia znikł z twarzy Colina. Był młodszy od Billy'ego i nie czuł się powołany, żeby go pouczać, sytuacja jednak zdecydowanie wymagała jakiejś interwencji.

- Lucas - zaczął - nikt nie ceni cię bardziej ode mnie. Więcej tego nie powtórzę, więc docień tę informację, ale ty i ja należymy do świata, w którym Julie Roper długo by nie przetrwała. Mamy swoją wrodzoną siłę, specjalne przystosowanie do trudnych warunków. Dzięki temu możemy stać na straży reszty świata, ale nie mieszać się z nią. Ja dopiero poznałem Julie, ale ona przynależność do najwyższych sfer ma wypisaną na twarzy. Jej środowisko to

prawdziwy high - life i śmietanka towarzyska. Ty nigdy nie wejdiesz do tych sfer, choćbyś nie wiem jak się starał.

Billy odstawił nietknięte piwo i podszedł do szklanych drzwi na taras. Gdyby przez nie spojrzął, zobaczyłby białe grzebienie fal rozbijających się na plaży, on jednak miał w oczach obraz Julie, delikatnej jak lalka z porcelany, i nic innego nie dostrzegął.

- Wiem - odparł cicho. - Starałem się o tym nie myśleć, ale wiem, o czym mówisz. Jestem przygotowany na to, że ta historia nie potrwa długo.

- Naprawdę jesteś na to przygotowany?

- Znowu kłamię, nie widzisz? - Billy spojrzął na Colina dziwnie pustym wzrokiem.

- No, wiem. Wiem też, że zupełnie nie jest to moja sprawa, więc w każdej chwili możesz kazać mi się zamknąć i przerwać tę rozmowę.

- Nie chodzi o to, żebyś był cicho, tylko o to, żebyś na resztę tygodnia się stąd wyniósł. Zafunduję ci hotel.

- To trochę nie fair - mruknął Colin. - Ostatnie cholerne dochodzenie ciągnęło się straszliwie i marzyłem już, żeby się tu na parę dni wyrwać i trochę odpocząć. A w ogóle to odnieśliśmy sukces, wiesz? Tamten drań dostał dożywocie.

- Bardzo się cieszę i szczerze ci gratuluję, ale i tak nie pozwolę, żebyś tu został i podrywał Julie.

- No tak, będę z tobą szczery, właśnie to miałem w planie.

- Colin cisnął puszkę po piwie do kosza na śmieci i westchnął.

- Czuję się tu taki niepożądany. A czy mogę chociaż przespać się z tobą na rozkładanym łóżku?

- Nie, do licha. Śpij na łóżku, ja położę się na podłodze. W końcu to twój dom.

Colin rozpromienił się.

- A więc, będzie jak za dawnych dobrych czasów. Pamiętasz obławę na Downington Street? Trzydzieści dni tam

siedzieliśmy o ciepłym piwie, zimnej pizzy i śpiąc na podłodze. To były czasy, co stary? Było w tym szaleństwo, ale i urok. Nie żal ci tego?

- Na początku było mi żal - przyznał Billy z tęskną miną.
- Ale ostatnio już jest w porządku. A nawet... całkiem dobrze.

- Ostatnio, czyli w okresie ostatnich trzech tygodni, trzech dni, sześciu godzin i dwudziestu minut? - podsumował Colin.

- Taak.

Colin potrząsnął głową ze smutkiem, jakby nagle spotkała go wielka, niepowetowana strata.

- To okropne; to tak, jakby znów dosięgła cię kula, tylko że tym razem trafiła w okolicę serca.

- Przeżyję - mruknął Billy. - Zawsze jakoś daję sobie radę, prawda? Więc przestań się o mnie martwić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego dnia Julie obudziła się w szampańskim humorze. Zdumiewające wydarzenia z ubiegłej nocy jawiły jej się teraz w zupełnie innym świetle; uznała nawet, że dopóki nie usłyszy się trzech dramatycznych słów: Ręce do góry! trudno powiedzieć, że żyło się pełnią życia.

Rozpoczęła dzień, wstyd powiedzieć, od przetrząśnięcia szafy Colina, w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby na siebie włożyć. Ubranie z Zakątka Gator gwałtownie domagało się prania, a nic innego nie miała. Efektem tych poszukiwań był strój składający się z męskiej bielizny, męskich spodni i białego T-shirtu. Ponieważ wszystko to było dla niej za duże, obwiązała się w pasie wąskim skórzanym krawatem. Teraz jej pierwszym marzeniem było pójść do sklepu i kupić sobie parę najpotrzebniejszych drobiazgów oraz jakieś ubrania.

Wczorajsza gwałtowna scena z Colinem odsłoniła przed nią nowe strony osobowości Billy'ego, którego postawa prawdziwego macho nadzwyczaj podziałała jej na wyobraźnię. Na jego tle zarówno Harris, jak i Beau, nie prezentowali się imponująco, jako że żaden z nich nie grzeszył nadmiarem męskiej charyzmy.

Fascynująca wydała się Julie również typowo męska przyjaźń istniejąca pomiędzy Billy'm a Colinem; chwilami przypominali jej obaj dzielnych i prawych bohaterów filmów o Dzikim Zachodzie.

Zeszła po schodach ostrożnie, przytrzymując skraj przydługich spodni, jakby to była spódnica. Włosy miała jeszcze mokre po kąpieli.

Salonik wypełniał zapach świeżo parzonej kawy, blask kalifornijskiego słońca kładł się na dywanie, lecz nie było tu Billy'ego. Drzwi były szeroko otwarte, wyszła więc na taras, w nadziei, że na plaży zobaczy swego ochroniarza, lecz i tam nie było śladu ani po nim, ani po Colinie.

Uśmiechnęła się, kiedy jakieś hałasy i warkoty dobiegły ją od strony garażu. Czyżby jakaś kolejna niespodzianka? W ostatnich dniach Julie nauczyła się cenić sobie niespodzianki, nawet jeżeli były szokujące i chwilami napędzały jej strachu.

Drzwi garażu były otwarte i oczom Julie, kiedy podeszła, ukazała się postać supermana w dżinsowej koszuli, czarnej skórzanej kamizelce i spranych dżinsach, siedzącego na olbrzymim motocyklu. Julia sama już nie wiedziała, co zrobiło na niej większe wrażenie, widok Billy'ego w charakterze nieokiełznanego postrachu szos, czy też sama maszyna, jak olbrzymia, groźna bestia. Billy na motorze wyglądał jak długowłosego Jamesa Deana, który marzy o tym, by wyruszyć w drogę.

- Nie ma samochodu? - stwierdziła Julie, nie kryjąc przejęcia.

- Colin go pożyczył. Na kilka dni zamieniliśmy się na pojazdy. - Uśmiechnął się i jego białe zęby zaśmiały. - Dzień dobry, szefowo - powitał ją radośnie. - Ładne ubranko, tylko te spodnie wyglądają tak, jakby zaraz miały z ciebie spaść.

- Wszystko w porządku - Julie uniosła trochę T-shirt i pokazała mu zaimprovizowany pasek, którym była obwiązana. - Mam nadzieję, że Colin nie będzie się gniewał.

- Nie będzie o tym wiedział - odparł Billy. - Miał nieodparte pragnienie, aby pojeździć sobie naszym zielonym samochodem i pozwiedzać wybrzeże. Jak dobrze pójdzie, to przez jakieś dwa dni go tu nie zobaczymy.

- Co mówisz? Co z Colinem? - Julie mało co zdołała usłyszeć przez warkot motoru.

- Co tam Colin! Chcesz się przejechać, maleńka? Możemy zacząć z klasą te twoje oryginalne wakacje.

Julie wdrapała się na motor i usiadła za Billym, a on wsadził jej kask na głowę i nakazał, by trzymała się go jak najmocniej, z całej siły..

Jeszcze nigdy nie jechała na motocyklu i nigdy jeszcze nie trzymała się żadnego mężczyzny tak mocno, z całej siły. Obydwa te nowe doświadczenia od razu przypadły jej do gustu.

Wiatr świstał jej w uszach, a włosy rozwiewały się w pędzie. Kształty i kolory mijanych domów, samochodów, ludzi i kwitnących krzewów rozmywały się, zamazywały i zlewały ze sobą jak w obrazach Moneta. Jechali z szybkością, która dla Julie równała się niemal prędkości światła.

Przyłgnąwszy do Billy'ego czuła jego ciepło i siłę i co zdumiewające, im bardziej mu ufała, tym bardziej czuła się niezależna i wolna.

Wjechali do miasteczka, zapowiadanej przez Billy'ego kolonii artystów. Na chodnikach i w ulicznych kafejkach widać było tłumy ludzi, panował tu ruch i gwar. Wśród tych wszystkich ludzi Julie nie była nikim szczególnym, po prostu jeszcze jedną twarzą w różnobarwnym tłumie. Ta turystka czuła się jednak w tej chwili najszcześliwsza na świecie.

Zaparkowali motocykl, w centrum miasteczka ruch kołowy był bowiem zabroniony i dalej poszli na piechotę. Panowała tu atmosfera nieomal świąteczna; grała muzyka, nad sklepami wisały kolorowe szyldy i transparenty, można było kupić najlepsze na świecie włoskie lody. Dość nietypowy strój Julie zwracał uwagę przechodzących i parę osób popatrzyło na nią ze współczuciem, a gdyby nadstawiła kapelusz, to z pewnością uzbierałaby trochę grosza. Najwyraźniej nie przeszkadzało jej to jednak, bo zdążyli przewędrować miasteczko w tę i z powrotem, zanim zdecydowała się wejść wreszcie do jakiegoś sklepu.

- No, to masz ostatnią szansę, żeby coś kupić - powiedział żartobliwie Billy, kiedy dotarli z powrotem do miejsca, gdzie zaparkowali motocykl. - A może satysfakcjonuje cię garderoba Colina?

- Nie, ale byłam tak przejęta perspektywą jazdy na motocyklu, że zapomniałam wziąć ze sobą portmonetki.

- Ja zapłacę.

- Nie wiem, czy wiesz, co mówisz. Jestem znana z tego, że potrafię wydać pięćset dolarów na parę butów - zacisnęła usta i gwizdnęła, szeroko otwierając przy tym oczy. - No to wyobraź sobie, ile mogłaby kosztować cała moja letnia garderoba.

Billy przybladł lekko. Przyszło mu do głowy, że powinien był ją zaprowadzić do sklepu z używaną odzieżą i starać się ją przekonać, że takie zakupy staną się dla niej kolejnym nowym, niepowtarzalnym przeżyciem.

- Naprawdę? Rzeczywiście kupiłaś sobie buty za pięćset dolarów? Cóż to musiały być za buty! Muszę trochę przeformułować swoją propozycję. Może byś się ograniczyła do kilku rzeczy w cenie, powiedzmy, jednego buta z tamtej osławionej pary?

- To jest prawdziwe wyzwanie! - wykrzyknęła Julie ze śmiechem, ciesząc się tym dniem, pogodą, otoczeniem i obecnością mężczyzny, który był przy niej. Nie miała wcale zamiaru dopuścić, żeby Billy wydawał swoje ciężko zarobione pieniądze na jej ubrania, ale przecież mógł udzielić jej krótkoterminowej pożyczki.

- W porządku, umowa stoi - powiedziała z uśmiechem. - Zobaczysz, jak potrafię być twórcza i oryginalna, jeśli idzie o modę.

Sklep, do którego weszli, do złudzenia przypominał większość innych tutejszych sklepów z ubraniami. Zapelniony był bez reszty przeróżnymi różnobarwnymi materiałami, hawajskim sukienkami na plażę, T-shirtami, czapkami baseballowymi i kostiumami do pływania. Z wyjątkiem tych ostatnich wszystko było z bawełny i w zadziwiająco przystępnych cenach. Do tej pory Julie prawie nie kupowała

ubrań „prosto z wieszaka”, na ogół miała na sobie rzeczy najdroższych firm i najslawniejszych projektantów: Versace, Calvina Kleina czy Very Wang. Miała jednak zdecydowanie dobry smak i wycucie kształtów, kolorów i fasonów, co zapewniło jej wysoką pozycję na liście najlepiej ubranych pań w Palm Beach.

Dziś miała być ubrana wyłącznie przez Julie Roper we własnej osobie.

Billy był tu jedynym mężczyzną i, czekając na Julie mierzącą różne szmatki w przymierzalni, czuł się dosyć niezręcznie. Jedynym, wcale niemałym pocieszeniem był dla niego widok bosych stóp Julie migających pod drzwiami. Wdział, jak zrzuciła plastikowe sandały, potem na podłogę opadły spodnie Colina i jego biały T-shirt. Wyobrażenia podsuwała mu natychmiast rozmaite podniecające obrazy, dopełniające to, co widział naprawdę, spróbował więc skupić się na czym innym, choćby na wielkim, różnokolorowym chińskim latawcu w kształcie smoka, zawieszonym tu pod sufitem. Smok był piękny, z długim, zwisającym ogonem, lecz myśli Billy'ego nieuchronnie kierowały się ku Julie.

Za chwilę drzwi przymierzalni otworzyły się i Julie pojawiła się w czarnym kostiumie kąpielowym, z szalem, który można było udrapować jako spódniczkę. Wygięła się przed Billy'm jak modelka, lecz było w jego spojrzeniu coś, co trochę ostudziło jej entuzjazm,

- No jak? Nie podoba ci się? Ten komplet kosztuje niecałe trzydzieści dolarów. Trzydzieści dolarów! Niesamowite, jak tanio można tu kupić takie rzeczy. No więc?

Billy oniemiał. Chłonał jej widok, jakby chciał zatrzymać go w pamięci na zawsze. Julie była drobna, lecz niezwykle zgrabna, co jej strój szczególnie teraz podkreślał. Nogi miała piękne i długie, połyskujące złocistą opalenizną, pełne piersi rysowały się obiecująco pod obcisłym materiałem, była

szczupłutka w talii. Długie jasne włosy rozsypywały jej się niedbale na plecy i ramiona, oczy błyszczały podnieceniem i pewnym niepokojem, w oczekiwaniu na jego werdykt.

- Wydaje mi się, że pasuje - powiedział dziwnie zachrypniętym głosem.

- Tylko pasuje? - Julie wyglądała na rozczarowaną. - Nie podoba ci się, prawda?

- Tego nie powiedziałem. - Billy jeszcze nigdy nie musiał oceniać, czy kobieta przymierzająca ubrania, wygląda w nich źle czy dobrze, nie wiedział więc, jak ma się zachować.

- Przecież chyba o to chodzi, żeby pasowało? - zapytał niepewnie.

- Nie podoba ci się! - zawyrokowała Julie i znowu skryła się w przymierzalni. - Trudno, mam ci jeszcze dużo do pokazania.

Kontynuowała swój pokaz mody, demonstrując mu coraz to coś nowego: sukienki plażowe, bluzki, spódnice, szorty, wszystko różnobarwne, w jaskrawych kolorach. Billy z przyjemnością poszedłby za nią i pomógł jej przy przebieraniu; przebywanie w towarzystwie kobiet zawsze sprawiało mu przyjemność, nigdy jednak nie przekraczał granicy, którą stanowiła pewna fascynacja. W stosunku do Julie nie tylko przekroczył tę granicę, lecz czuł, że popadł już w obsesję; liczyła się tylko ta dziewczyna. Nie wiedział, jakie jest kolejne stadium, następujące po obsesji, lecz niewątpliwie dryfował prosto w tym kierunku.

Stroje, które kolejno prezentowała mu Julie, nie były nawet jakoś specjalnie prowokujące, Billy czuł jednak, że się poci i z każdą chwilą trudniej mu odgrywać rolę chłodnego obserwatora.

- Muszę zapalić - oświadczył w końcu, pozostawiając Julie sam na sam ze stosem ubrań. - Zawołaj mnie, kiedy będziesz gotowa.

Kiedy wreszcie wyszli ze sklepu, Julie taszczyła wielką torbę, zawierającą dwie sukienki plażowe, szorty koloru khaki, kilka T-shirtów, parę dżinsów oraz króciutką, spraną dżinsową spódniczkę. Był tam też kostium kąpielowy, w którym Billy jeszcze jej nie widział i który niewątpliwie kłócił się z zasadami, jakie wpajał jej Harris - co przyzwoita panna nosić powinna, a czego zdecydowanie nie. Ten kostium był żółciutki, dwuczęściowy, maksymalnie skąpy i pięknie kontrastował z jej opalenizną. Julie nie wiedziała, czy kiedykolwiek będzie miała okazję go włożyć, lecz była pewna, że jeśli Billy ją w tym zobaczy, to pomyśli nie tylko o tym, czy ten kostium na nią pasuje.

Osoba, która kupiła te wszystkie rzeczy, to już nie była dawna Julie Roper. Julie Roper zawsze miała rzeczy szyte lub dopasowywane specjalnie dla niej, które dostarczano jej do domu. Dotąd nie nosiła też nigdy plastikowych koralików na żyłce, jakie dostała w charakterze gratisowego dodatku do zakupów, ani długich, błyszczących kolczyków, które teraz zwisały jej z uszu prawie do ramion. Czuła się świetnie, bo nikt jej tutaj nie oceniał, była po prostu jedną z wielu turystek, przyjeżdżających tu, by nacieszyć się słońcem Kalifornii.

- Ciekawe, jak ja się nazywam? - myślała głośno, a Billy uniósł brwi ze zdziwienia.

- Nie wiesz, jak się nazywasz?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Na pewno nie jestem już Julie Roper, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Jestem kimś o wiele ciekawszym niż ona.

- Trudno w to uwierzyć.

- Ale to prawda! Zawsze miałam wszystko zaplanowane na całe tygodnie naprzód. Nigdy nie musiałam dokonywać żadnych wyborów, a kiedy nie trzeba niczego wybierać, życie staje się strasznie nudne. A ta osoba, którą tu widzisz, ma przed sobą cały bezmiar możliwości. Mogłaby, na przykład,

pływać nago w oceanie w środku nocy, mogłaby ufarbować sobie włosy albo zrobić tatuaż...

- Co?

- ...albo moglibyśmy kupić sobie rolki i jeździć po całej lagunie na rolkach. Och, jeszcze coś mi przyszło do głowy! Mogłabym nauczyć się jeździć na motocyklu!

- Co?

- Moglibyśmy też kupić hot dogi i toffi, i zrobić sobie piknik na plaży, albo nawet rozpalić ognisko. Nigdy czegoś takiego nie robiłam. Kiedy mówiłam ci, że mam całą listę różnych życzeń, to właśnie takie rzeczy miałam na myśli. Chodziło mi o takie zwykłe rzeczy, o których jednak nikt w moim środowisku nie śmie nawet marzyć. Chciałabym spróbować, jak się pływa na desce i pograć w bile.

- Ale masz marzenia! - jęknął Billy.

- Wiesz, co jeszcze chciałabym robić? Chciałabym nauczyć się gotować. Właściwie nigdy jeszcze sama nie przygotowywałam posiłku. Billy, mogłabym tak wymieniać swoje marzenia bez końca. Mam uczucie, jakbym przeżyła na tym świecie ponad dwadzieścia lat, wcale nie znając smaku prawdziwego życia.

Doszli właśnie do parkingu. Julie zatrzymała się i utkwiała w Billym żarliwe spojrzenie swych brązowych oczu. - Czy ty wiesz, jaka jest temperatura nieżywego człowieka?

- Co? - ta dziewczyna nie przestawała go zadziwiać.

- Dwadzieścia dwa stopnie! Tak się składa, że w naszych domach w Miami i w Kalifornii panuje zawsze taka właśnie temperatura. Tak samo jest z naszym samochodem. Niezależnie od pogody, wszystko zachowuje temperaturę dwudziestu dwóch stopni. Dopiero niedawno odkryłam, że taka sama jest temperatura trupa. Nie zadziwia cię ten zbieg okoliczności? Do tej pory dużo miałam wspólnego z trupem, ale teraz chcę żyć naprawdę, wyrwać się spod klosza.

- No, a jak ma się do tego wszystkiego Bo - Bo? - zapytał Billy odruchowo; wcale nie zamierzał wspominać o tym facecie. To pytanie padło jakby niezależnie od jego woli. - Czy on jest w stanie cię rozgrzać?

Julie odwróciła wzrok, czując, że oblewa ją gorący rumieniec. - Tu nie chodzi o Beau - powiedziała. - Mówiłam o sobie. Muszę wiedzieć, kim jestem, zanim będę mogła zdecydować, czego naprawdę chcę.

- A ile czasu zostało ci do zaręczyn? - nalegał Billy. - Do szesnastego? To niezbyt długo, jak na to, żeby się odnaleźć.

- Nie powiedziałam, że zaręczone się w dniu urodzin. - Julie zrobiła lekko obrażoną minę. - Nie wiem jeszcze, co będę robić w tym dniu. Na razie wolę myśleć o tym, co będzie dzisiaj.

- Wszystko jedno - Billy wskoczył na motocykl, a Julie usadowiła się za nim i objęła go w pasie. Tak bliski kontakt z tą dziewczyną przypominał Billy'ego o katusze, skoro musiał wciąż trzymać na wodzy swoje rozbudzone zmysły. Spojrzał z zazdrością na serdeczny palec Julie, na którym już wkrótce miał zabłysnąć zaręczynowy pierścienek od Bo - Bo.

Po co w ogóle o tym myślał? Za parę dni ta bajka się skończy; królowa wróci tam, gdzie jest jej miejsce, czyli do wyższych sfer Palm Beach. W jej świecie dla niego nie było miejsca, a w jego świecie Julie była tylko gościem. Chciała nasycić się „atrakcjami” zwyczajnego życia, lecz każda nowość z czasem traci swój czar i blask. Czy dla niej i on sam był taką „atrakcją”?

Tymczasem wciąż stali na parkingu i Julie zaczynała się niecierpliwić.

- Jestem głodna - powiedziała. - A może byśmy poszli coś przegryźć? Czy są tu takie bary, gdzie można dostać frytki z hamburgerem i piwo? Jest tu coś takiego?

- Według życzenia, królowno. W Kalifornii jest wszystko, czego tylko dusza zapragnie.

Doświadczenie z jedzeniem w barze nie należało do najbardziej udanych.

Mimo całego entuzjazmu Julie dla wszystkiego, co nowe, jej receptory smakowe przyzwyczajone były do dań znacznie delikatniejszych niż tłuste frytki i hamburger. Nie była w stanie zjeść tego, co sobie zamówiła.

Zjadłszy mniej niż połowę, zagadnęła Billy'ego niepewnie: - To bardzo popularne i wszyscy to jedzą, prawda?

Billy uśmiechnął się w odpowiedzi, mimo że nie bardzo mu było do śmiechu. - Ten bar był dawniej dużo lepszy; może zamówisz sobie coś innego? Jakaś sałatkę?

- Nie, nie już się najadłam - Julie potrząsnęła głową.

- Podoba mi się to miejsce. Jest jak z lat sześćdziesiątych. Teraz wraca moda na ten okres.

- Dlatego tu tak wygląda, że ten bar naprawdę jest z lat sześćdziesiątych. Ta cała plastikowa tandeta z niewielkimi zmianami pochodzi z tamtych czasów; dla właścicieli to szczęście, że lata sześćdziesiąte są w modzie, a dla ciebie to już prehistoria, prawda?

- Nabijasz się ze mnie.

- Prawdę mówiąc, kpię raczej sam z siebie. - Billy wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę bez słowa. Gdyby Julie umiała czytać w jego myślach, zdumiałby ją dźwięczący wciąż w jego głowie refren: Ona złamie mi serce, złamie mi serce, złamie mi serce...

- O Boże, o czym ty myślisz? - zawołała Julie widząc jego dziwny wyraz twarzy. - Jesteś niezwykle milczący, odkąd tu przyszliśmy.

- Byłem zajęty swoim cheeseburgerem. - Była to po części prawda. Gliniarze na ogół nie martwili się o to, żeby

właściwie się odżywiać. Mieli takie pensje, że ważne było, aby móc w ogóle coś zjeść.

- No i co będziemy robić dalej? - Julie bujała się na krześle. - Wciąż się we mnie wpatrujesz. Teraz też.

Rzeczywiście, dlaczego? Billy uświadomił sobie właśnie, że jego samokontrola jest na wyczerpaniu; po prostu są granice wytrzymałości, nawet dla policjanta, twardego gościa i ochroniarza. Co będzie dalej z nimi dwojgiem?

- No, przecież jestem tu z tobą - odpowiedział z trudem.

- Dlaczego miałbym na ciebie nie patrzeć? Gdybym przyglądał się tamtej pani przy sąsiednim stoliku, mogłaby pomyśleć, że chcę ją poderwać.

- Dlaczego, do licha, miałyby tak pomyśleć?

- Posłuchaj uważnie, malutka. Zaraz ci wytłumaczę. - Pochylił się ku niej, a jego oczy miały jeszcze intensywniejszy, ciemniejszy kolor niż zazwyczaj. - Gdybym patrzył na nią tak samo, jak patrzę na ciebie, ona od razu doskonale wiedziałaby, co czuję. Rozpoznałaby natychmiast moje pragnienie, pożądanie, niepewność i lęk. - Zamilkł, po czym dodał cicho: - Nie widzisz, co się ze mną dzieje?

Pytanie to było tak nagłe i niespodziewane, że w pierwszej chwili Julie była zbyt oszołomiona, aby na nie odpowiedzieć. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby te słowa w pełni do niej dotarły i żeby zdołała ochłonać. Tak, widziała, co się z nim działo, nie przypuszczała jednak, że akurat teraz zdecyduje się na zwierzenia.

- Dlaczego teraz mi to mówisz? - zapytała szeptem.

- Bo dla mnie istnieje tylko „teraz” - odparł Billy, a w jego oczach pojawił się wyraz cierpienia.

- Wszyscy mamy tylko „teraz”, Billy - powiedziała Julie, chcąc go jakoś pocieszyć, ukoić, tak bardzo wydał jej się w tej chwili zagubiony i samotny.

- Przestraszyłem cię? - zapytał, drżąc z pożądania, lecz także lęku i niepewności.

- Trochę, ale nawet mi się to podoba - z zagadkowym uśmiechem Julie wstała z miejsca i wyciągnęła do niego rękę.

- Chodźmy do domu, Billy - powiedziała.

Billy bez wątpienia w wielu sprawach był świetny; umiał strzelać do celu, gotować spaghetti, prasować sobie koszule i udzielać wywiadów. Kiedy przyszło co do czego, okazało się jednak, że rozpalenie ogniska na plaży jest dla niego nie lada problemem.

- Wcale mi nie powiedziałaś, że dla ciebie to też jest pierwsze ognisko - krzyknęła do niego Julie, osłaniając się dłonią od gorąca buchających płomieni. Ogień bowiem w ciągu paru sekund zrobił się gigantyczny.

- Coś mi się zdaje, że nie trzeba było tak mocno podlewać go benzyną - powiedział Billy. - Wystarczyłoby trochę, a nie cały kanister.

- Co?

- To ta benzyna... Zresztą mniejsza o to. Uciekajmy stąd.

- Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą w stronę skałek porośniętych mchem i trawą. Dopiero tam rozpostarł koc, który ściągnęli z łóżka Colina i postawił pojemnik z jedzeniem. - Schowamy się tu, dopóki to piekło się nie wypali - wyjaśnił.

- Dlaczego? - Prawdę mówiąc, Julie nie miała nic przeciwko temu. Chciała tylko być blisko niego. Właściwie tylko o tym myślała i tylko tego chciała, kiedy szli na plażę i jeszcze przedtem, kiedy robili zakupy na piknik. W domu przebrała się w parę dziś kupionych rzeczy: szorty i bluzkę z głębokim wycięciem. Widziała, że strój ten zrobił na Billym wrażenie, bo na jej widok przez chwilę nie mógł wymówić ani słowa. Julie nauczyła się już trochę rozpoznawać jego reakcje; kiedy bał się zdradzić swe uczucia, wtedy po prostu milkł

nagle i przez chwilę się nie odzywał. A wtedy podszedł do niej i bez słowa ucałował wewnątrz jej dłoni.

- Chodzi o to - odpowiedział Billy, kiedy ułożyli się już obok siebie na kocu - że rozpalanie ognisk na plaży jest tu zabronione. Myślałem, że jak rozpalimy mały ogieniek, to nikt go nie zauważy, ale teraz w każdej chwili może się tu zjechać cała okoliczna straż pożarna.

- Ale przecież ty jesteś policjantem - dowodziła Julie.

- Czy to nie daje ci jakichś przywilejów?

- Raczej nie wtedy, kiedy wzniecę pożar tylko dlatego, że chciałem upiec sobie hot dogi. - Mina mu zrzędnęła, kiedy przypomniał sobie znowu, że coraz bardziej brnie w kłamstwa i że Julie, w całej swej naiwności, bierze go za kogoś, kim nie jest. Myślał, że chociaż na krótko uda mu się uciec od rzeczywistości, ona jednak raz po raz dawała o sobie znać.

- Tu przynajmniej jest dość wody, żeby w razie czego pożar ugasić. Staraj się widzieć zawsze dobrą stronę sytuacji - powiedziała Julie.

- Ty mnie tego nauczyłaś - Billy patrzył na jej szlachetny profil i długie, gęste rzęsy ocieniające policzki. Zachodzące słońce nadawało jej twarzy jakiś nieziemski wyraz. Pomyślał, że wygląda jak anioł.

- Ja nauczyłam cię czegokolwiek?

- Uważasz, że to niemożliwe?

- Bardzo mało prawdopodobne - Julie uśmiechnęła się na wspomnienie swojej nieporadności, kiedy trzeba było zatankować benzynę.

Zapadło między nimi dziwne, pełne napięcia milczenie, jakby oboje oczekiwali na coś, co ma się wydarzyć. Julie zadrżała, jednak nie od przedwieczornego chłodu.

- Jest ci zimno? - zapytał natychmiast Billy. - Mogę pobiec i zaraz przyniosę ci bluzę.

- Nie, nie trzeba - Julie potrząsnęła głową przecząco, posyłając mu nikły uśmiech. - Usiłuję przesłać ci telepatycznie pewną wiadomość. Koncentruję się na tym ze wszystkich sił. Słyszysz mnie?

Mimo całej jej niewinności, przekaz był oczywisty i całkowicie czytelny. Billy poczuł dławienie w gardle. Z zakłopotaniem przeczesał sobie palcami włosy i rzekł: - Chodzi ci o... o te cholerne dwadzieścia centymetrów, które nas dzieli?

- Tak, pańska przenikliwość jest godna podziwu, panie oficerze. I co jeszcze?

Spojrzenie Billy'ego powędrowało ku jej pięknym, pełnym ustom.

- Chcesz... żebym cię pocałował?

- Nie trafiłeś - rzekła cicho Julie.

- Nie trafiłem? - nie wiedział, o co w takim razie może jej chodzić.

- Jeśli idzie o ścisłość, myślałam o tym, że... - Julie przyłgnęła do jego boku - .. że to ja chcę pocałować ciebie.

Co też uczyniła.

Jego wargi były gorące, chętne oraz znajome i fala nowych, cudownych doznań ogarnęła ciało i umysł Julie z całą siłą. Billy odpowiedział na pocałunek, najpierw delikatnie i czule, potem coraz namiętniej, dając upust swojemu wielkiemu pragnieniu.

Wyczuł bezbłędnie, w której chwili to on powinien przejąć prowadzenie i odwrócił ją na plecy, a sam znalazł się nad nią, ani na chwilę nie przestając jej całować, chcąc wciąż więcej i więcej i nie mogąc się nasycić. Spletli się mocno, a ciało Julie zaczęło drgać w rytmie dyktowanym jej przez pradawne prawo natury.

A przecież zaczęło się tylko od pocałunku, który jak to ognisko na plaży, zabłyśnął wielkim płomieniem i wymknął się spod kontroli, zanim jeszcze cokolwiek się stało.

Julie zagłębiła palce we włosach Billy'ego i przeczesywała je czule, ciesząc się ich jedwabistą miękkością. Tak wiele naraz teraz czuła, że wszelka racjonalna myśl całkowicie wyparowała z jej głowy. Billy obudził w niej potrzebę tak głęboką i dojmującą, że zdawało się jej, iż umrze, jeśli jej nie zaspokoi.

Ich ruchy wyłobiły w piasku zagłębienie, jakby łożo. Julie wstrzymała oddech, kiedy dłonie Billy'ego zaczęły pieścić pod bluzką jej nagie piersi.

- Nie planowałem tego... tutaj - wymówił Billy z trudem wśród pocałunków.

- A ja tak. - Jej ręce, podobnie jak dłonie Billy'ego, były ruchliwe i głodne. Czującym dotykiem koniuszków palców Julie poznawała jego ciało, jakby badała nieznane lądy. Błądziła palcami po jego plecach, dotykała starych blizn.

Patrząc jej w oczy, Billy dostrzegł w nich jakąś mądrość i czułość, których dotąd u niej nie widział.

- Skóra mi cierpnie na myśl, że tak łatwo mogło się zdarzyć, a wcale byśmy się nie spotkali. Kiedy sobie wyobrażam, ile zagrażało ci niebezpieczeństw i ile nieszczęść mogło cię spotkać...

- Nie myśl o tym - Billy delikatnie pocałował ją w czoło. - Teraz jesteśmy tutaj, razem. A to, że pojawiłaś się w moim życiu, to prawdziwy cud.

- To ja mam szczęście - Julie odgarnęła mu z czoła kosmyk ciemnych włosów. - Wyglądasz jak mały chłopiec, Billy; no może oczy masz dorosłe i... - tu oblała się ciemnoczerwonym rumieńcem - ...i inne rzeczy.

- Jeśli już mowa o innych rzeczach... - Jeszcze nigdy w życiu nie było mu tak trudno zadać pytania jak teraz, może dlatego, że jeszcze nigdy nie trzymał w objęciach anioła.

- Czy jeszcze nigdy nie byłeś z żadnym mężczyzną? - zapytał.

- Nie. - Julie wcale nie była zakłopotana. Właściwie nawet podświadomie wdzięczna była losowi, że nikogo przed Billym nie było w jej życiu. To czyniło to przeżycie jeszcze cenniejszym i bardziej cudownym. - Tylko ty, Billy. Nikt, tylko ty.

To był dar, którego nikt mu jeszcze nie ofiarował. Łzy dławiły go w gardle. Ktoś, kto go dawniej znał, nigdy by w to nie uwierzył. Billy Lucas do tej pory nie charakteryzował się szczególną delikatnością uczuć, przynajmniej nic na to nie wskazywało; teraz zaś obudziła się w nim nowa wrażliwość, która zdumiewała nawet jego samego.

- Za nic nie chciałbym sprawić ci bólu - powiedział. - Czy ty... Muszę wiedzieć, czy jesteś...

Jej uśmiech to był uśmiech dorosłej kobiety. Wiedziała, że te nieporadne pytania, w chwili gdy oboje płonęli z namiętności - świadczyły o tym, jak bardzo była dla niego ważna.

- Jestem zabezpieczona. Czekałam na ciebie, odkąd skończyłam osiemnaście lat. Nie chciałam zdawać się na przypadek.

Billy dotknął czołem jej czoła i wziął głęboki oddech.

- Rozpalanie ognia w miejscu publicznym jest zabronione i to samo dotyczy ognia, który pali się teraz między nami, rozumiesz? Nie wolno tego robić w miejscu publicznym. - Po czym z łobuzerskim uśmiechem dodał, jakby coś sobie nagle przypomniał: - Ojej, zapomnieliśmy o hot dogach! Bardzo jesteś głodna?

- Jestem bardzo głodna, Billy.

- Naprawdę?

- Teraz zapytaj mnie, na co mam apetyt?

- O raju - Billy przez moment rozważał konsekwencje, jakie mogą ich spotkać, jeśli będą się kochać na plaży. - Jak na anioła, to masz dość szatańskie pomysły. Zaprowadzisz mnie teraz do domu? I na górę po schodach? I zapędzisz mnie do łóżka? - zapytał, a w myśli dodał jeszcze: I zatrzymasz czas?

- Tak, Billy - wyszeptała.

Przez całe życie czekała, żeby móc wypowiedzieć to jedno, jedyne słowo. Patrząc w jego błękitne oczy wiedziała na pewno, że warto było czekać.

Nie był to jego pierwszy raz, lecz czuł się, jakby tak właśnie było.

Stali naprzeciw siebie w sypialni na górze, a między nimi łóżko. Billy zadawał sobie pytanie, jak do tego doszło?

- Jesteś tak daleko - powiedziała cicho Julie.

- Jestem dokładnie tu, gdzie powinienem. To ty stanęłaś po tamtej stronie łóżka. - Billy był nieomal sparaliżowany pożądaniem i potrzebował pomocy.

- Głoś ci drży - wyszeptała Julie.

- Tobie też.

Skłoniła głowę na jedno ramię i z uśmiechem Mony Lizy powiedziała: - Spotkajmy się pośrodku.

Nie spuszczając z siebie wzroku, rzeczywiście odnaleźli się nawzajem pośrodku materaca i kiedy byli już tylko na odległość pocałunku, ich serca wypełniła melodia miłości. Billy nigdy dotąd nie miał skłonności do romantyzmu, teraz jednak właśnie taka metafora przyszła mu do głowy.

Ich pocałunek był słodki i czuły.

Przez chwilę klęczeli naprzeciw siebie na łóżku, wpatrując się w siebie, jakby sycili się swoim widokiem i chcieli tę chwilę uchwycić w całym jej pięknie i zapamiętać na zawsze. Billy całował czoło, policzki, czubek nosa Julie i jej łagodnie

zaokrągloną brodę. Uczył się tej dziewczyny na pamięć. Całował płatek jej ucha i szyję, delikatnie obejmując ją w talii.

- Jesteś taka mała - szeptał i sam ten szept był jak pieszczota - ...i krucha...

- Nie jestem krucha - odpowiedziała cicho i westchnęła, kiedy jego dłonie przesunęły się w górę, poznając i tuląc jej pełne piersi, które zdawały się ciężkie jak dojrzałe owoce. - Jestem... jestem...

Całował ją coraz mocniej, kciukami głaszcząc jej stwardniałe nagle sutki. Całowali się ciągle, zachłannie, dopóki nie zbrakło im powietrza i nie musieli złapać tchu.

Billy cofnął się na moment, żeby ją widzieć i utrwalić sobie w pamięci. Czym i kiedy zasłużył na tę dziewczynę?

Delikatnie ujął brzeg jej bluzki i powoli zaczął ją zdejmować. Julie pomagała mu, jak dziecko rozbierane do snu, potem sama rozpięła biały, koronkowy stanik. Lekki rumieniec zaróżowił jej szyję i policzki, lecz w jej oczach płonęło pożądanie. Billy chciał coś powiedzieć, lecz uznał, że lepiej zostawi to sobie na inną okazję. Opuścił głowę i całował jej piersi, najpierw jedną, potem drugą z równą uwagą.

Julie była zupełnie nieprzygotowana na falę zmysłowości, która wezbrała w niej teraz z wielką siłą. Opuściła głowę i przymknęła oczy; zdawało jej się, że jest w niebie.

Billy niecierpliwie pozbył się koszuli, nie przestając całować Julie i po raz pierwszy przyłgnęli do siebie nadzy od pasa w górę, wciąż pragnąc być bliżej, pozbyć się resztek tego, co ich dzieliło. Nie było już miejsca na wstyd czy zakłopotanie, płomienne pragnienie zdominowało w nich wszystko inne. Każdy ruch Julie podyktowany był teraz nieomylnym instynktem i każde jej dotknięcie wzmagało podniecenie Billy'ego.

Moment, kiedy nic już ich nie dzieliło, był wyzwoleniem.

Billy był czarodziejem. Znał wszystkie sekrety jej ciała lepiej niż sama Julie; wiedział, gdzie i jak dotykać ją i pieścić, aż jęczała z rozkoszy. Czowała się, jakby za chwilę miała wzbić się w górę, a kiedy wreszcie wszedł w nią, zdawało jej się, że szybuje gdzieś wysoko, w nieznannej przestrzeni, wiedzona bezgranicznym pragnieniem.

Słyszała dawniej różne opowieści o dziewicach i cierpieniach, jakie musiały znosić, a Harris raczył ją też uświadamiającymi przykładami z życia ptaszków i motylków. Mówił jej o tych sprawach niejasno i z widocznym zażenowaniem, twierdząc przy tym, że robi się to nie tyle dla przyjemności, co dla przedłużenia gatunku i że rzecz cała jest mocno przereklamowana.

Okazało się teraz, że Harris kłamał.

Billy doprowadził ją do szczytu rozkoszy i jej nagle obudzona kobiecość napełniła go zdumieniem i szczęściem. Julie była cudem; jego cudem.

Kiedy i on osiągnął swój szczyt, było to zarazem jakby śmierć i odrodzenie; początek nowego życia. Nie zdawał sobie sprawy, że może istnieć tak cudowne połączenie gorącej namiętności i czułości kojącej serce i duszę. Mimo że nigdy jeszcze nie płakał, teraz poczuł, że oczy mu wilgotnieją.

Tylko nie płacz, upominał siebie, ujmując w dłonie słodką twarzyczkę Julie. Duzi chłopcy nie płaczą.

A jednak jedna gorąca łza szczęścia całkiem wbrew jego woli stoczyła się Billy'emu po policzku i upadła na szyję Julie.

- Nigdy tak jeszcze nie było - powiedział zachrypniętym głosem. - Nie wiedziałem, że coś takiego może mi się kiedyś przydarzyć. Jesteś całym moim światem, światem, jakiego dotąd nie znałem.

Julie przyciągnęła jego głowę do swojej piersi i tuliła ją, pieszcząc delikatnie.

- Billy - szepnęła, gładząc mu włosy. W jej ustach to imię brzmiało jak modlitwa.

- Co?

- Nic. Po prostu - Billy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Julie nie mogła spać, ponieważ robiła coś bardzo ważnego: patrzyła na swojego mężczyznę.

Siedziała po turecku w nogach łóżka i przyglądała się Billy'emu, który spał mocno i słodko jak dziecko. A łóżko wyglądało jakby niedawno przeszedł tędy tajfun.

Julie miała na sobie jedynie kolejny luźny T-shirt Colina, i to raczej nie ze względu na wymogi przyzwoitości, lecz dlatego, że zrobiło jej się chłodno.

Tej nocy wiele się o sobie nauczyła i jak na osobę tak mało doświadczoną, była nawet zadziwiająco nieprzyzwoita. Jej entuzjazm zastąpił z nawiązką brak doświadczenia i tej nocy Billy wielokrotnie jej to powtarzał.

- Moje życzenie numer jeden - powiedziała cicho, uśmiechając się do mężczyzny, dla którego teraz biło jej serce.

- Słyszałem, co powiedziałaś - odezwał się Billy.

- Nic nie słyszałeś. Przecież śpisz.

Billy uśmiechnął się, nie otwierając oczu. - Twoje życzenie numer jeden to ja... - zamruczał z dumą.

- Bardzo jesteś zarozumiała, mój panie policjancie. Chyba ci się coś wydawało.

- Wcale mi się nie wydawało, obserwowałem cię, kiedy to mówiłaś. Ćwiczyłem spostrzegawczość. Teraz też widzę, że masz na sobie jeden z białych podkoszulków Colina i wcale mi się nie podoba, że jego ubranie dotyka twojej skóry. Przysuń się trochę bliżej, to pomogę ci go zdjąć.

- Trochę mi było zimno - wyjaśniła Julie.

- Tylko dlatego, że jesteś tak daleko, na samym końcu łóżka. - Billy uśmiechnął się do niej po łobuzersku, całkiem już obudzony. - Przyjdź tu do mnie, a obiecuję, że rozgrzeję cię w trzy sekundy.

Julie uśmiechnęła się i wyciągnęła się przy nim, lecz natychmiast przygryzła wargi; pewne części ciała miała dość obolałe po ostatniej nocy.

- Co ci jest? - Billy natychmiast usiadł, zaniepokojony.

- Nic. Troszeczkę boli, kiedy zaczyna się być kobietą.

- Przepraszam, najdroższa! Co ze mnie za idiota! - Billy mocno klepnął się w czoło. - Zaraz się tobą zajmę.

- Już się mną zajmowałeś, i to całkiem dobrze - anielski uśmiech Julie nagle zrobił się odrobinę szatański. - Bardzo dobrze się mną zajmowałeś... Poczekaj, dokąd idziesz?

Ale Billy już wstał, wiedziony poczuciem winy, czułością i opiekuńczym współczuciem. Błyskawicznie włożył dzinsy i skierował się do łazienki.

- Przygotuję ci kąpiel - rzucił wyjaśniająco. - To powinno ci dobrze zrobić na... wszystkie obolałe miejsca. Na szczęście Colin ma to wspaniałe jacuzzi.

- Poczekaj, dokąd się tak śpieszysz? - Julie usiłowała go zatrzymać. - Przecież nie zostawisz mnie samej w kąpeli; mogłabym popaść w depresję z powodu nagłego rozstania.

- A kto powiedział, że zostawię cię samą w jacuzzi?

Przy śniadaniu Julie siedziała na krześle wyścielonym poduszką, a Billy raz po raz spoglądał na nią z czułym niepokojem.

- Kiedy wreszcie przestaniesz się tak o mnie martwić? - zapytała w końcu. - To już prawie obsesja.

- Nigdy - odpowiedział po prostu i widać było, że mówi szczerze.

Billy miał na sobie tylko dzinsy, jego opalone, doskonale umięśnione ciało prezentowało się imponująco. Drobne zmarszczki przy oczach były dziś rano jakby trochę głębsze, lecz to dodawało mu tylko uroku. Z oczu znikł mu wyraz cynicznego rozbawienia, wypełniało je szczęście; a ze szczęściem było mu naprawdę bardzo do twarzy.

- Może byśmy ucieli sobie małą drzemkę po śniadaniu - zaproponowała Julie z nadzieją, lecz jej intencje łatwe były do przejrzenia.

Billy pokręcił jednak głową przecząco. - Nie, po śniadaniu zajmiemy się czymś mniej wyczerpującym niż drzemka. Musisz trochę dojść do siebie, maleńka.

- A co może być mniej wyczerpujące niż mała drzemka? - zapytała niewinnie.

- Na przykład bieg maratoński. - Billy usiłował zrobić surową minę, lecz nie bardzo mu to wychodziło. Julie stała się jego nadzwyczajną uczennicą, która chwilami nawet była w stanie przejąć rolę nauczycielki. Nie bała się chcieć, pragnąć i nie miała ochoty grać. Była tak niewinna i prostolinijna, oddawała mu się szczerze, całkowicie i bez reszty, całym ciałem i duszą. A im więcej mu z siebie dawała, tym bardziej jej pragnął.

- No więc co chciałbyś dzisiaj robić? - zapytała.

- Weźmy pod uwagę coś z twojej listy życzeń, bo moje sprowadzają się tylko do jednego. Przecież jesteś na wakacjach, chyba pamiętasz? Masz dziś u swoich stóp całą słoneczną Kalifornię, najdroższa. Powiedz tylko, dokąd chciałabyś się wybrać?

Julie uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi i gestem wskazała na sufit; chodziło jej o sypialnię na górze.

- Nie - powiedział Billy stanowczo - chociaż sam też bym tego chciał. Musimy zająć się trochę czym innym. Może zagramy w bile? - zaproponował.

- W bile?

- No przecież umieściłaś to na liście swoich życzeń, prawda? Jest moim obowiązkiem dopilnować, żeby każde twoje życzenie zostało spełnione. Tylko pamiętaj...

- Tak, panie policjancie?

- Ponieważ dziś w nocy przebiłaś mi serce strzałą, teraz nie zamierzam dawać ci żadnych forów. Walka ma być sprawiedliwa. Zgadzasz się?

Julie uśmiechnęła się, a oczy jej promieniały. Widziała jak trudno Billy'emu uporać się z tym obudzonym uczuciem. Okazał się tak samo niedoświadczony w sprawach serca jak ona; bardzo ją tym wzruszał.

- Chcesz powiedzieć, że mam oddać grę walkowerem?

- Nie, nie będzie takiej potrzeby, przecież nigdy przedtem nie grałaś. Po prostu nie oczekuj, że będę dżentelmenem i pozwolę ci wygrać.

- Ej, panie zarozumiały, chcesz się założyć?

No i pokonała go, i to jak! Billy usiłował sobie wytłumaczyć, że to nie jego wina, iż przegrał. Nie był w stanie skoncentrować się na grze, gdyż widok Julie w obcisłych dżinsach, cudownie podkreślających jej kształty, zanadto go rozpraszał.

Ponieważ przegrał, musiał zaprosić Julie na lunch, jak przewidywał zakład. Tym razem wybrała bar meksykański. Jak się okazało, potrawy były tam smaczniejsze niż hamburgery z frytkami, które jedli poprzedniego dnia. Tym razem Julie zmiotła z talerzy wszyściutko, do czysta. Billy patrzył na nią ze zdumieniem.

- Jesteś taka drobniutka - powiedział, kiedy kończyła jeść ostatnią frytkę. - Gdzie się to wszystko mieści?

- Muszę mieć dużo siły - odparta niezrażona. - Czy będziesz jeszcze jadł tego kurczaka?

- Spokojnie możesz go wziąć. Czy w Palm Beach dużo jest osób takich jak ty?

- Takich jak ja? O co ci chodzi?

- Chodzi mi o kobiety z twojej sfery. Wyobrażam sobie takie anorektyczne, dobrze zakonserwowane paniusie, które

owszem umawiają się na lunch, ale prawie nic nie jedzą. Masz keczup na brodzie.

Julie otarła sobie brodę serwetką.

- Gdybym miała najkrócej scharakteryzować większość moich znajomych, to powiedziałabym, że są to osoby przeraźliwie znudzone. No więc, tak to jest. Swoich rodziców mało pamiętam, ale wydaje mi się, że oni byli raczej szczęśliwi. Ojciec często się śmiał, podnosił mnie do góry i kręcił się ze mną w kółko. A mama... była naprawdę najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałam. Była taka promienna, cała jaśniała. Tyle w niej było radości życia. To pamiętam bardzo dobrze.

- Co się z nimi stało? - zapytał Billy.

- Zginęli w wypadku podczas rejsu żeglarskiego, kiedy miałam siedem lat. Żałuję, że tak mało ich pamiętam, ale za to te wspomnienia, które mi zostały, są piękne. A twoi rodzice?

- Też nie żyją - odparł krótko. - Moja matka zmarła kilka lat temu na raka. To była silna kobieta, walczyła do końca. A mój ojciec... On nigdy... nie był... On też nie żyje.

- Tak mi przykro - powiedziała Julie cicho.

Billy już otworzył usta, chcąc zmienić temat i powiedzieć jej cokolwiek. Sam się zdumiał, kiedy uświadomił sobie, że mówi prawdę, której przecież tak bardzo chciał umknąć.

- Nie ma powodu do współczucia. Zostawił nas, kiedy miałem dwa lata, więc nie pamiętam nawet, jak wyglądał. Z tego, co mówiła mi matka, wiem, że ostro popijał. Nigdy więcej nie wyszła za mąż, więc prawdopodobnie jej doświadczenia małżeńskie nie były przyjemne. Ilekroć ktoś mnie pyta o ojca, zawsze mówię, że nie żyje; zresztą bardzo możliwe, że tak właśnie jest. Kto wie?

Zapadła cisza i Billy uświadomił sobie, że zdradził swoje najskrytsze uczucia; było tak, jakby swoje krwawiące serce wystawił na widok publiczny. Nie wiadomo dlaczego czuł się

w pewnym stopniu odpowiedzialny za winy własnego ojca. Natychmiast pożałował, że powiedział Julie prawdę.

Kiedy jednak zajął jej w oczy, nie dojrzał w nich litości, lecz inne uczucia - współczucie, zrozumienie, żal, że chłopiec, którym kiedyś był Billy, doznał takiej krzywdy. Julie była może niewinna, lecz dobrze wiedziała, co to znaczy stracić kogoś bliskiego. Właściwie bowiem łączyły ich podobne doświadczenia; oboje stracili w życiu to, co dla każdego jest warunkiem harmonijnego rozwoju emocjonalnego i poczucia bezpieczeństwa - kochających rodziców.

- Kto by pomyślał - zastanawiała się Julie na głos - że dwoje tak różnych ludzi może mieć tak podobne doświadczenia? Życie jest nieprzewidywalne; czasem już zdaje ci się, że masz nad nim kontrolę, i wtedy znowu nagle coś się zdarza.

- Wtedy przynajmniej nie jest się tak rozpaczliwie znudzonym.

- No nie, rzeczywiście. Mnie też się to zdarzało, ale to było P. B.

- Kiedy?

- Julie uśmiechnęła się. - P. B. czyli „Przed Billym”. To los przyprowadził cię do mnie i kazał nam się spotkać na tamtej ciemnej drodze, wśród bagien i cyprysowych zarośli. Odkąd się spotkaliśmy, Billy, nigdy się nie nudzę, nie czuję się ani nieszczęśliwa, ani niezadowolona.

Julie znów uśmiechnęła się do niego i kokieteryjnie zatrzepotała rzesami.

- Skoro już o tym mówimy, to jaka jest szansa, że zdołam cię namówić na to, żebyśmy wrócili do domu i ucieli sobie małą drzemkę?

- Drzemkę? - zapytał Billy. - Czy raczej tak zwaną drzemkę?

Julie ziewnęła demonstracyjnie.

- Nie widzisz, że jestem śpiąca? W nocy trudno było się wyspać, a gra w bile z tobą też była dość wyczerpująca.

- Ach tak, oczywiście, oczywiście - potwierdził kpiąco.

- Billy? - Pocałowała go w policzek, po czym szepnęła mu prosto do ucha: - Zabierz mnie do domu! Chcę się z tobą kochać.

Sam jej szept był już jak pieszczota.

- Na pewno? - zapytał. - Nie chcesz... no... wypocząć?

- Odpoczywanie jest czymś rozpaczliwie nudnym. Zerwałam z tym. Koniec. Amen.

Życie naprawdę nie było nudne.

Kiedy wrócili do domu, zastali tam Colina rozpartego wygodnie na sofie i zjadającego jakiś olbrzymi baton.

- Gdzie byliście tyle czasu? - powitał ich z pretensją w głosie. - Czekam tu już od rana. Nie wiecie, że w miasteczku jest zjazd Shrinersów? W promieniu pięćdziesięciu kilometrów nie można znaleźć żadnego wolnego pokoju.

- No to spróbuj znaleźć coś w promieniu stu kilometrów - odparł Billy gniewnie. Nie mógł się już doczekać swojej „drzemki”. - Obiecywałeś, że wyjedziesz.

- Dziś rano widziałem, jak przyjechali, na motocyklach - ciągnął Colin, ignorując to, co powiedział Billy. - Cały wielki sznur motocyklistów, wiesz bracie, jak to wygląda? I wszyscy w takich śmiesznych małych czapeczkach. Nie wyobrażacie sobie, co za typy.

- Cześć, Colin. Jak się masz? - zagadnęła Julie życzliwie, mimo że, podobnie jak Billy, myślała głównie o tym, żeby znów znaleźć się w łóżku.

- Cześć, piękna i światowa damo. Dziękuję, czuję się świetnie. A ty, Billy? Czy dobrze spałeś tej nocy?

- Szkoda, że nie mam przy sobie kajdanek - warknął przyjaciel ponuro.

- Lepiej nie wspominałmy o tak przykrych sprawach przy damie - powiedział Colin. - No to mówcie, gdzie byliście dziś rano?

- Grałismy w bile - poinformowała go Julie. - Ja robiłam to po raz pierwszy i wygrałam.

- Niemożliwe! - zaśmiał się Colin. - Stary druho, na co ci przyszło?

Billy jednak nie był w nastroju do żartów: - Wyniesiesz się stąd, jeśli ci zapłacę?

Colin uśmiechnął się promiennie, nie musiał nic mówić.

- A jeśli zapłacę ci bardzo dużo?

- Ale wy śmiesznie ze sobą rozmawiacie - wtrąciła się Julie. - Przepraszam. Muszę iść umyć ręce.

Kiedy Julie wyszła, uśmiech natychmiast znikł z twarzy Colina. Billy zresztą od razu wiedział, że przyjaciel pojawił się tu nie bez przyczyny. - Co się stało? - zapytał bez ogródek.

- Skąd wiesz, że coś się stało? Zresztą, mniejsza o to, zapomniałem, że rozmawiam z tajniakiem. - Colin wziął głęboki oddech i powiedział: - Ktoś cię poszukuje, Lucas.

Billy opadł na krzesło, jakby nagle zabrakło mu sił i opuścił głowę. - O Boże, jeszcze nie teraz...

- Wiedziałeś, że prędzej czy później to nastąpi - powiedział cicho Colin. - Sam mi to wczoraj mówiłeś.

Billy przymknął oczy i starał się uspokoić.

- Nie przypuszczałem, że czas nam darowany minie tak szybko.

- Dziś rano miałem wiadomość od kapitana; pojawił się u niego ktoś, kto pytał o ciebie. Twierdził, że jest detektywem wynajętym przez brata tej pięknej młodej damy. Dowiedział się, że Julie kupiła bilety do Kalifornii i teraz idzie po twoich starych śladach, szukając dalszych tropów. Kapitan wiele mu nie powiedział, ale sam wiesz, że to tylko kwestia czasu i ktoś przyśle go tutaj. Wszyscy wiedzą, że często tu bywasz; moim

zdaniem masz jeszcze jakieś dwadzieścia cztery godziny, zanim ktoś zapuka do drzwi tego domu.

A więc taki miał być koniec pięknego snu? Było to stokroć gorsze, niż Billy mógł przypuszczać. Zaszło mu w gardle, boleśnie ścisnął mu się żołądek, pobieleły kostki dłoni zaciśniętych w pięści. Już przecież prawie uwierzył, że cudowny czas z Julie trwać będzie bez końca.

- Muszę jej to powiedzieć, zanim przyjdą obcy i zaczną walić w drzwi.

- Jest jeszcze coś - dodał Colin niechętnie. - Harris Roper przekazał kapitanowi wiadomość dla ciebie na wypadek, gdyby miał z tobą jakiś kontakt. Kazał ci powtórzyć, że oskarży cię o porwanie jego siostry, jeśli natychmiast do niego nie zadzwonisz. Obaj wiemy, że to tylko czcze pogrożki, ale jeżeli nada on sprawie rozgłos, to na pewno nie wpłynie to dobrze na twoją dalszą karierę zawodową. Lepiej do niego zadzwoń.

- Mam gdzieś swoją wątpliwą karierę.

- Przyjaciele są po to, żeby być przy nas w trudnych chwilach. Zadzwoń do niego, i to już! Miałeś tyle, ile było możliwe, chłopie, nie przeciągaj struny.

Billy zaklął i wziął do ręki telefon, jednocześnie patrząc na schody, czy nie wraca Julie. Harris podniósł słuchawkę natychmiast, zaraz po pierwszym sygnale.

- No, masz szczęście, że dzwonicz, Lucas - warknął.

- Tak, to ja - Billy mówił cicho. - Usiłuję dostarczyć Julie do domu, nie wtajemniczając jej w to, że kazał ją pan śledzić. Bo taka była umowa, prawda?

- Dostarczyć ją do domu? Skąd? Billy zawahał się.

- Z Kalifornii.

- To już wiem! - wrzasnął wściekle Harris. - Gdzie ona jest konkretnie w Kalifornii?

Billy otworzył i zamknął usta; odpowiedź jakoś nie chciała przejść mu przez gardło. I jakby podjął decyzję nieświadomie, bo nagle rozłączył się.

Colin patrzył na niego w zdumieniu; na dłuższą chwilę zapadła cisza. Wreszcie Colin wstał i z rękami w kieszeniach zaczął przechadzać się po pokoju.

- Słuchaj stary, naprawdę jest mi bardzo przykro. Kiedy dziś rano musiałem tu przyjść, żeby ci o tym powiedzieć, czułem się jak jakiś cholerny wysłannik śmierci. Może ja w ogóle nie jestem w stanie pojąć, co ty do tej dziewczyny czujesz; to pewnie przerasta moje doświadczenie, uważam jednak, że jeśli cokolwiek chcesz z tego ocalić, to musisz powiedzieć jej prawdę, zanim brat zrobi to za ciebie i odpowiednio zaprawi rzecz całą jadem. Ten tajniak na pewno zjawi się tu niedługo, chyba że jest kompletnym matołem, a Harris Roper ma wystarczająco duże fundusze i wpływy, żeby wokół całej sprawy narobić hałasu w mediach.

- Wiem - odparł Billy ponuro. - Wiem.

- Co takiego wiesz? - zapytała Julie, schodząc ze schodów.

Colin, niczym kameleon, natychmiast przybrał beztroską minę, chcąc odciągnąć jej uwagę od Billy'ego. - Właśnie miałem się pożegnać. Chyba przyłączę się do Shrinersów. Też chciałbym mieć taką czapeczkę.

- Ładnie byś w niej wyglądał - zaśmiała się Julie.

- No dobrze, moi mili, uciekam. Aha, oddaję wam ten samochód. Mam go już dość i stęskniłem się za swoim pojazdem. No to... porozmawiamy później, Lucas?

- Tak, tak później. - Billy naprawdę był zawodowcem wysokiej klasy. W jednej chwili potrafił zapanować nad swoimi uczuciami i przybrać obojętny wyraz twarzy.

- Dzięki, że... do nas wpadłeś.

- A może zostaniesz na obiad? - zaproponowała Julie, która wyczuła jednak u nich obu jakąś niejasną zmianę nastroju. Colin jednak podziękował i złożony na jej dłoni szarmancki pocałunek, skierował się ku drzwiom.

- Wszystkiego dobrego! Trzymajcie się! Adieu. Colin odszedł, a Julie wdrapała się Billy'emu na kolana.

- Hej! - pocałowała go z głośnym cmoknięciem. - Ale śmieszny ten twój przyjaciel!

Billy odpowiedział jej pocałunkiem, długim, namiętnym i tak zachłannym, że Julie zabrakło tchu.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Nie - Billy zmusił się do uśmiechu. - Może tylko chciałbym, abyś wiedziała, że oddałbym wszystko za to, żeby być z tobą. Nie pragnę niczego więcej, chcę cię obejmować i żeby ten moment trwał wiecznie. Czy proszę o zbyt wiele?

- Jeśli o mnie chodzi, to nie, - Julie wciąż nie mogła oprzeć się myśli, że poza nią dzieje się coś ważnego, coś, o czym ona nie wie. - Jesteś pewien, że Colin nie ma pretensji o to, że zajęliśmy jego dom? Wyglądał tak, jakby był czymś zmartwiony.

- Nie, wszystko w porządku. Colin chciał tylko odzyskać swój motocykl. Nagle wezwali go z powrotem do pracy, więc i tak nie mógłby tu mieszkać.

Billy uświadomił sobie, że w tej chwili podjął niebezpieczną decyzję, która mogła mieć przykre następstwa.

Postanowił, że nie powie jej prawdy o sobie, jeszcze nie. Chciał zyskać przez to jeszcze chociaż krótki czas, kiedy będzie mógł wierzyć, że jest tym, za kogo uważa go Julie. Potem wszystko się zmieni; chciał jeszcze o tym nie myśleć.

- Zapytaj mnie, co teraz czuję, panie oficerze.

- Widzę, co czujesz. Wcale nie muszę o to pytać - odpowiedział i znowu połączyli się w pocałunku. Billy całował ją teraz tak, jakby to był ostatni pocałunek w jego

życiu. Jego dłonie niecierpliwie zdzierały ubranie z Julie, aby tylko jak najszybciej poczuć dotyk jej ciała. Nie starał się być ostrożny ani delikatny, chciał ją posiąść, kochać się z nią, bo tylko to się teraz liczyło.

Kochali się na podłodze, zresztą co to miało za znaczenie, gdzie; w tej chwili ważne było tylko to pragnienie i pożądanie wielkie aż do bólu. Julie z trudem łapała oddech, a Billy patrzył w jej ciemne, głębokie oczy, pełne bezgranicznego oddania.

Ta dziewczyna ufała mu całkowicie.

Myśl ta była niezmiernie bolesna, tak bardzo, że Billy starał się ją od siebie odepchnąć. Jego ciało miało powiedzieć Julie wszystko to, czego nie potrafiły wyrazić słowa, bo jego słowa kryły w sobie kłamstwo. Ciało wyrażało prawdę najgłębszą, prawdę miłości, ciało nie umiało kłamać. Wszystko, co działo się między nimi od chwili spotkania na ciemnej szosie Florydy, było rodzeniem się miłości. Zdarzyło im się coś, co było niezwykle, wyjątkowe i co było dla obojga prawdziwym cudem.

Tym razem czuli się, jakby latali i jednocześnie wzbili się na szczyt rozkoszy. Było to doświadczenie tak wszechpotężne, jak śmierć i zmartwychwstanie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Później, po południu, Julie zwinęła się w kłębek, żeby „przez chwilę się zdrzemnąć” i przespała ponad godzinę, podczas gdy Billy wyszedł, żeby przejść się po plaży. Kiedy otworzyła oczy, stał w drzwiach, zdyszany i bosy, wiedziała więc od razu, gdzie był.

- Hej, mężczyzno moich marzeń - powiedziała leniwie, jeszcze senna. - Wyszedłeś i zostawiłeś mnie samą.

- Przecież nawet o tym nie wiedziałaś; zmęczyłem cię, malutka. - W jego wyrazie twarzy było coś mrocznego, nieznanego, mimo że się uśmiechał.

- Co się stało? - zapytała z niepokojem. - Jesteś jakiś... inny.

Billy jednak zignorował jej pytanie. Teraz, owinięta w pomięte prześcieradła, wydała mu się szczególnie piękna. - Ładnie ci w tych prześcieradłach - zauważył. - Może powinnaś wylansować taką modę.

- Mam to w planie. Wiesz, właśnie mi się śniłeś.

- Tak? Opowiesz mi swój sen?

- Mój sen był powtórzeniem wydarzeń tego popołudnia. Wiesz, że byłeś cudowny... jeszcze raz... - Oczy Julie się śmiały. Straciła swoją niedawną dziewczęcą wstydlivość.

Billy miał poczucie, że po południu, kiedy kochali się na podłodze w pokoju na dole, nie był dla niej zbyt delikatny.

- Jesteś pewna, że to był przyjemny sen, a nie koszmar?

Chyba nie byłem wtedy dla ciebie zbyt delikatny; nigdy przedtem tak się nie zachowywałem, lecz, odkąd jestem z tobą, na każdym kroku sam siebie zadziwiam.

Julie jednak najwyraźniej nie miała mu tego za złe.

- Wiesz, muszę ci coś powiedzieć - rzekła. - Coś bardzo ważnego, co uświadomiłam sobie dopiero dzisiaj. Spełniły się wszystkie życzenia i pragnienia, jakie kiedykolwiek w życiu miałam. Nie tylko czuję się w pełni zaspokojona... no, nie

śmiej się, nie chodzi o ten rodzaj zaspokojenia... chociaż właściwie i o ten też, ale...

- Chyba się trochę płaczesz.

- Nie, czasami ludziom czegoś brak, ale nie wiedzą dokładnie, czego. Tak samo było ze mną. Teraz już wiem. Przez całe życie wydawało mi się, że tęsknię za wolnością, ale tak naprawdę moim problemem była samotność. W rzeczywistości nie chodziło mi o tę całą przygodę, ucieczkę z domu i tak dalej.

- No to pięknie! I teraz mi to mówisz!

- No bo dopiero dzisiaj to zrozumiałam, Billy. - Napięcie i wyraz żarliwości na jej twarzy świadczyły, jak bardzo chciałyby, żeby dobrze ją zrozumiał; to przecież dzięki niemu w jej życiu dokonała się tak radykalna zmiana. - Byłam dotąd tak ściśle chroniona, że właściwie nie wiedziałam, co znaczy prawdziwe życie i dopiero ostatnie kilka dni tak wiele mnie nauczyło. Życie w żadnym wypadku nie jest nudne i na pewno nie jest czymś, czego należałoby się bać. Jest naprawdę cudowne. Właściwie nieważne, co się robi - można być kelnerką, baletnicą czy karmicielem zwierząt w zoo; liczy się to, żeby w każdej chwili umieć odkryć radość. I trzeba ufać. Jeśli to się ma, nie trzeba już żadnej listy życzeń do spełnienia. Ty mi dałeś tę wiedzę, Billy. Nauczyłeś mnie być sobą.

Billy wyłowił z jej przemowy jedno i tytko to kołatało mu w głowie: „trzeba ufać”. Julie ufała mu bezgranicznie, a on to zaufanie zawiódł! Poczł mdłości, zakręciło mu się w głowie. Odwrócił wzrok, udając, że spogląda w okno.

- Nic ci nie dałem - powiedział nieswoim głosem. - To wszystko nosiłaś w sobie, Julie. Sama siebie nie doceniasz.

Julie przestraszyła się, słysząc jakieś dziwnie obce tony w jego głosie. Działo się coś, czego nie rozumiała.

- Co się stało? - zapytała. - W chwili gdy wszedłeś do pokoju, od razu wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Czy powiedziałam coś niewłaściwego?

- Nie - odpowiedział Billy z wielkim trudem. - To nie o ciebie chodzi.

- Billy, zaczynasz mnie przerażać - Julie spróbowała się uśmiechnąć. - Przynoszę ci serce na dłoni, a ty nawet tego nie zauważasz.

Przymknął oczy, wziął głęboki oddech, starając się odnaleźć spokój. Teraz przyszedł czas, żeby jej wszystko powiedzieć, właśnie teraz.

W tym momencie jednak Julie wyszeptała:

- Kocham cię.

To był nagły szok, jakby ziemia się pod nim zatrzęsła. Spojrzał na nią w zdumieniu i wyjąkał:

- Co powiedziałaś?

Julie sama była zdumiona własną śmiałością. Miłość budziła się w niej od chwili, kiedy się spotkali, ale powiedzieć to tak prosto z mostu... to była całkiem inna rzecz i sama była tym chyba trochę zaskoczona. Wyciągnęła drżącą rękę i delikatnie pogłaskała go po policzku.

- Przepraszam. Teraz ty jesteś przerażony. Po prostu zapomnij, że to powiedziałam.

Zapomnieć? Jak mógłby zapomnieć? Przecież on nawet nie ośmieliłby się o tym marzyć. Żeby taka dziewczyna jak Julie Roper, która mogłaby mieć każdego mężczyznę na świecie. ...

A ona pokochała właśnie jego, człowieka, który nigdy nie uważał się za szczególnie godnego miłości.

- Nie spodziewałem się tego - szepnął. - Nigdy, naprawdę nigdy. - I od razu pojął, że powiedział coś niewłaściwego. Julie była głęboko dotknięta, oblał ją ciemnoczerwony rumieniec i natychmiast podciągnęła prześcieradła aż pod

szyję, żeby zakryć swoją nagość. Było w tym geście coś symbolicznego.

- Wiesz, jest takie powiedzenie... Tylko głupcy się śpieszą. Nie powinnam otwierać ust, zanim trzy razy nie pomyślę. Chodźmy lepiej coś zjeść. Jestem głodna. Naprawdę umieram z głodu - Billy nie potrafił zahamować potoku jej wymowy, którym starała się pokryć swój wstyd i zakłopotanie.

- Julie...

Ona jednak nie słuchała. Wstała z łóżka, wstydliwie owinięta w prześcieradło jak w sari i z uniesioną głową skierowała się do łazienki. Billy zauważył z rozpaczą, że przybrała pozę dumnej pani z Palm Beach. Znów wyrosły między nimi bariery, nie mógł jednak jej za to winić.

- Julie, poczekaj chwilę...

Lecz ona zbyła go jednym zdaniem i królewskim gestem ręki:

- Zaraz będę gotowa, pogawędzimy później.

I zatrasnęła za sobą drzwi łazienki. Tym razem, rzecz jasna, o wspólnej kąpieli mowy już być nie mogło. Łazienka stała się na chwilę jej schronieniem, Julie bowiem była strasznie zraniona, prawie chora ze wstydu i z żalu; i chodziło jej nawet nie tyle o to, co Billy powiedział, jak o to, czego nie powiedział.

Przygnębienie nie opuszczało jej podczas obiadu, mimo iż znakomicie nad sobą panowała. Nie przypadkiem urodziła się i wychowała w Palm Beach. Umiała dobrze udawać i ukrywać prawdziwe uczucia.

Billy jednak widział, co naprawdę się z nią działo. Starannie unikali w rozmowie jakichkolwiek tonów bardziej osobistych, przeskakiwali z tematu na temat, prowadzili jakąś nic nie znaczącą konwersację. Zadziwiające, jak szybko wszystko się zmieniało.

Po kolacji Julie zaproponowała spacer; szli w stronę domu powoli, patrząc na purpurowo-złoty zachód słońca nad oceanem.

Billy odzywał się rzadko; wiedział, że nie ma prawa przyjąć jej miłości, dopóki nie wyjawি jej całej, nie upiększonej prawdy. Prawdę mówiąc, nie miał nawet prawa się z nią kochać, teraz jednak było już za późno, aby coś zmienić. Niczego więcej w życiu nie pragnął niż jej miłości, a właściwie tego, aby na tę miłość zasłużyć.

Tymczasem jednak, i gdyby jej powiedział, i gdyby jej nie powiedział, był przeklęty.

Tak, przeklęty!

Od samego początku wiedział, że do niej nie pasuje. Nie miał odpowiedniego wychowania, pozycji społecznej ani majątkowej. Nie mówiąc już o tym, że był kłamcą i oszustem. Najpierw chodziło o to, żeby chronić Julie, później także o to, żeby chronić siebie i tę odrobinę szczęścia, którą zdołał życiu ukraść.

Oczywiście, gdyby należał do klasy uprzywilejowanej, jak na przykład Bo - Bo, wszystko wyglądałoby inaczej i mógłby z nadzieją patrzeć w przyszłość. Tak jednak nie było. On i Julie należeli do dwóch różnych światów; ona była światłem, on ciemnością; ona była prawdą, on oszustwem.

Rozmyślając tak, czuł, że zaraz oszaleje. Co zrobić w sytuacji, kiedy nie można być z kimś najbardziej upragnionym na świecie? Choćby myślał nad tym nie wiem jak długo, i tak nie znalazłby rozwiązania zdolnego zlikwidować przepaść, która się między nimi otwierała.

Byli już prawie pod domem, kiedy zauważył samochód. Na podjeździe stała długa, biała, błyszcząca limuzyna. Okna miała zaciemnione, lecz Billy doskonale wiedział, kto siedzi w środku.

- Oho - ho! - mruknęła Julie na widok auta. Harris, kiedy był w podróży, zawsze jeździł limuzyną; niemożliwe jednak, żeby wyszedł ich aż tutaj. Nie znał przecież Billy'ego, ani tym bardziej Colina. A jednak...

- Czy Colinowi zdarza się jeździć limuzyną? - zapytała niepewnym tonem, z góry znając odpowiedź.

- Nie. - Billy pojął, że jego czas dobiegł końca. Chwycił Julie za rękę, a jego myśli pędziły teraz z prędkością światła. - Poczekaj, tylko poczekaj - błagał. - Musisz mnie wysłuchać, zanim spotkasz się z bratem. Powinienem ci powiedzieć. .. - głos uwiązł mu w gardle, a w oczach miał cierpienie. Tymczasem z limuzyny wysiadł szofer i otworzył drzwi po stronie pasażera. - Cholera... tak mi przykro, Julie.

- Dlaczego ci przykro... - Julie była kompletnie zaskoczona i oszołomiona. Czowała jednak, że zaraz może spaść na nią jakiś cios. Kiedy Billy przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, zaczęła bać się naprawdę.

- Billy, przerażasz mnie! Powiedz coś!

On jednak nie był w stanie nic powiedzieć; stał jak sparaliżowany, podczas gdy z limuzyny wysiadł Harris. Ta drobna, niepozorna postać brata Julie była jednak zwiastunem bolesnej rzeczywistości.

- To twój brat - powiedział martwym głosem. Teraz już było za późno, żeby jej cokolwiek mówić; może zresztą za późno było od samego początku. - Nie przypuszczałem, że to nastąpi tak szybko.

- Wiedziałeś, że on przyjedzie? - Julie pobladła. - Wcale nie jesteś zdziwiony - szepnęła. - Ty wiedziałeś...

- Wiedziałem, że się zbliża, chciałem ci to powiedzieć...

- Julie! - Harris podbiegł do siostry i porwał ją w objęcia. - Jesteś cała i zdrowa? Czy ty zdajesz sobie sprawę, co ja przez ciebie przeżyłem? Dlaczego, na Boga...?

- Przestań! - Julie wyrwała się z objęć brata i spojrzała na Billy'ego. - Nie zadawaj żadnych pytań, a raczej odpowiedz na kilka.

- Jesteś na mnie zła? - Harris nie krył zdumienia. - To ja szukam cię po całym kraju, dowiaduję się, gdzie może być nasz przyjaciel, Billy...

- Skąd wiesz, jak on się nazywa? - Julia poczuła, że ogarnia ją lodowaty chłód. - Mówiłam ci, że wynajęłam ochroniarza, ale nie wymieniałam jego imienia.

Billy milczał, Harris patrzył na niego oskarżycielsko.

- O czym ona, u diabła, mówi? - wybuchnął. - Pozwoliłeś na to, żeby cię wynajęła? Gdzie twoja moralność, gdzie elementarne zasady?! Przecież i tak pracowałeś u mnie! Możesz być pewien, że nie nabijesz sobie kabzę naszym kosztem! O nie! Wybij to sobie z głowy.

- Nie chcę waszych cholernych pieniędzy - odparł Billy. Nie mógł oderwać oczu od Julie ani ona od niego. Wyraz jej twarzy był równie przejrzysty i czytelny jak zawsze. Widać było jej lęk, zmieszanie, rozpacz. I wszystkie te uczucia były zasługą nie kogoś innego, ale Billy'ego Lucasa we własnej osobie. - Nie mogłem ci tego powiedzieć - rzekł.

Siły Julie były na wyczerpaniu. Zrobiło jej się słabo. Musiała natychmiast usiąść, wszystko jedno gdzie. Przyklękła na trawie i zamknęła oczy. - Harris, skąd wiedziałeś, jak on się nazywa?

- Już ci mówiłem. Wynajęłam go do ochrony parę tygodni temu. - Harris zamilkł i odchrząknął. - Julie, przecież nie będziesz tak siedzieć na trawie. Chyba możemy wejść do środka i porozmawiać, prawda? Wszystko ci wytłumaczę.

- W to nie wątpię. No to tłumacz od razu!

Po chwili namysłu Harris podciągnął nogawki swoich beżowych spodni i ostrożnie usiadł koło Julie na trawie. Widać było, że sprawia mu to przykrość.

- Martwiłem się o ciebie, Julie. Kiedy ma się tyle pieniędzy, co my... Wiesz przecież, że są różni porywcze i zboczeńcy... A ty... ty nigdy nie traktowałaś naszej pozycji poważnie. Potrzebny ci był twój własny ochroniarz, ale wiedziałem przecież, że nie zgodzisz się, jeśli ci zaproponuję jego usługi. Czy moglibyśmy wejść do domu? Naprawdę źle się czuję, siedząc na trawniku.

- A więc wynajęłaś Lucasa, żeby mnie śledził? - Julie zignorowała prośbę brata. - Kiedy to było?

- Cztery tygodnie temu - przyznał Harris i po raz pierwszy wyglądał na zakłopotanego. - I wszystko szło dobrze, dopóki razem nie uciekliście. Nie muszę chyba dodawać, że ten człowiek już nie znajdzie pracy w ochronie. Moi prawnicy zdążyli...

- Zamknij się, Harris - uciszyła go Julie, która nie wyczerpała jeszcze zasobu swoich pytań. - Jak to się stało, że nigdy go przedtem nie widziałam.

- Bo jestem dobry w swoim fachu - rzekł Billy głucho.

Czuł się jak masochista. Zasłużył na wszystko, co go teraz spotykało.

- Więc nie jesteś policjantem? - Julie popatrzyła na niego z bólem i wyrzutem w oczach.

- Byłem. Odszedłem z policji i założyłem własną agencję ochrony. Pewien detektyw z Florydy, z którym pracowałem, polecił mnie twojemu bratu.

- Jego też dopadnę - warknął Harris. - Już moi prawnicy...

- Zamknij się, Harris - powiedział tym razem Billy, wciąż wpatrując się w jego siostrę. - Chciałem ci to powiedzieć Julie, ale wiedziałem, co się stanie, jeśli to zrobię. Nie tylko wywołałoby to problemy między tobą a twoim bratem, ale i nasze bycie razem dobiegłoby końca. Nie mogłem się więc na to zdobyć.

- Wasze bycie razem? - powtórzył Harris. - Co to znaczy? Julie, na litość boską, coś ty zrobiła? Jesteś związana z własnym porywaczem? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

- Nic ci nie chcę powiedzieć, Harris. Teraz ja zadaję pytania! - Łzy napływały jej do oczu, lecz nie mogła się teraz rozplakać. - On jest twoim pracownikiem, a nie moim porywaczem. A więc kazałeś mu mnie śledzić? Billy mieszkał u nas w domu?

- Nie, nie, w mieszkaniu dla szofera - zapewnił ją Harris. - Kazałem zainstalować kilka kamer, żeby nie zakłócać twojej prywatności. Chciałem, żeby ci to nie przeszkadzało i żebyś czuła się swobodna. Zawsze przecież narzekałaś na ochronę. - Jeśli Harris spodziewał się z jej strony podziękowań, to się ich nie doczekał.

- A więc Billy przez cały czas mnie obserwował - powiedziała Julie powoli, jakby sama nie mogła w to uwierzyć.

- Mój własny ochroniarz obserwował mnie przez ukryte kamery. ...

- Chciałem ci to powiedzieć - powtórzył Billy, zacinając się jak pęknięta płyta. - Tak mi przykro. Naprawdę!

Julie wstała z trawnika i na chwiejnych nogach poszła w stronę samochodu, a Harris poszedł w jej ślady, otrzepując po drodze spodnie.

- Teraz pojedziemy do domu - oświadczył - i zapomnimy o całej tej przykrej historii tak szybko jak tylko się da, zgoda?

- Przedtem nie pytałeś mnie o zgodę, więc teraz też nie musisz - odpowiedziała Julie lodowatym tonem. - Żaden z was nie przywiązywał wagi do tego, co czuję, bo w przeciwnym razie nic takiego by się nie zdarzyło. Naprawdę sądziłeś, że masz takie prawo, Harris? Że twoja troska o mnie usprawiedliwia nawet oszustwo?

Harris znów poczuł się zakłopotany.

- Cóż... przecież nie o to tu chodzi. Ktoś, kogo wynająłem, zawiódł moje zaufanie; a przecież miałem na uwadze wyłącznie twoje dobro, Julie. Przecież wiesz. No, a wracając do tego, co cię łączy z Lucasem, powiedz mi proszę, że nie...

- To nie twój interes, Harris. - Julie mówiła z trudem. Odwróciła się jednak do Billy'ego i zapytała jeszcze: - Ty wiedziałeś, że Harris przyjedzie. Skąd?

- Od Colina. Dlatego właśnie przyjechał tu dziś rano. Chciał mnie ostrzec, że detektyw wynajęty przez twojego brata dowiadyuje się o mnie na policji. Można się było spodziewać, że twój brat też się tutaj pojawi.

- A więc kolejna zmowa. Ty i Colin, ty i Harris. Boże, ależ ja jestem głupia... W porządku, Harris. Jedziemy do domu, i to już!

- A twoje rzeczy?

- Nie mam żadnych rzeczy. Nic tutaj nie należy do mnie.

- Julie, poczekaj! - Billy miał wrażenie, że świat wali mu się na głowę, to, co się teraz działo, było gorsze niż najgorszy sen. - Mylisz się, jeśli uważasz, że to była dla mnie tylko praca, dla pieniędzy. Prawie od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem...

- Od jakiej pierwszej chwili? Od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłeś mnie na monitorze kamery, czy od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłeś mnie twarzą w twarz?

Harris nigdy jeszcze nie widział swojej siostry tak roztrzęsionej.

- Julie, nie denerwuj się tak. Nie trzeba. To już minęło.

- Nigdy się nie zaczęło - powiedziała Julie, a w jej głosie nie było już ani gniewu, ani innych emocji. - Wiesz, co mnie najbardziej boli, Billy? To, że miałeś tyle okazji, żeby mi powiedzieć prawdę. Wiedziałeś, co się między nami dzieje. I pozwoliłeś na to, żeby się działo.

- O Boże, o czym ty mówisz? - jęknął Harris. - Lucas, jeśli w jakikolwiek sposób skrzywdziłeś moją siostrę, to ja...

- Obaj mnie skrzywdziliście, bo obaj okłamywaliście mnie z własnych egoistycznych powodów.

- To nieprawda - powiedział Billy z udręką w głosie. - To, co czułem... co czuję... jest autentyczne. Wiedziałem jednak, że kiedy poznasz prawdę, wszystko się skończy. Należymy do różnych światów. Więc chciałem ocalić jak najwięcej...

- Wiesz, Billy, prawda może być prostsza i łatwiejsza niż te wszystkie kręactwa, ale ty się jej bałeś i dlatego przekreśliłeś naszą szansę. A teraz chcę już wyjechać. Nie mam ochoty tu być ani chwili dłużej.

Billy chciał ją jeszcze zatrzymać, lecz tym razem Harris zdecydowanie stanął między nimi.

- Dość już, Lucas. Wystarczająco dużo złego wyrządziłeś. Nie uważasz?

Billy popatrzył mu z gniewem prosto w oczy.

- To zło jest zasługą nas obu, tylko że ty jedziesz z nią teraz do domu i możesz starać się o to, żeby ci wybaczyła, a ja straciłem tę szansę. Jeśli jesteś prawdziwym mężczyzną, to pozwolisz siostrze odnaleźć własną drogę. Ona jest odważniejsza i bardziej przedsiębiorcza niż którykolwiek z nas mógł przypuszczać.

Stanowczość i głębokie przekonanie Billy'ego zdumiały Harrisa. To już nie był ten sam młody człowiek, którego niedawno wynajął do ochrony. W jego słowach brzmiała szczerłość i powaga.

- Może i masz rację - odpowiedział - tylko że to już nie twoja sprawa. Prześlę ci twoje rzeczy. Mogę ci chyba ufać, że nie będziesz już jej więcej niepokoił? Że po prostu o niej zapomnisz?

- Każdego dnia, do końca życia, będę starał się o niej zapomnieć. - Twarz Billy'ego była jak skamieniała. - Możesz się o to nie martwić. Wiem, gdzie jest moje miejsce.

Stał jak posąg, kiedy oboje wsiadali do limuzyny. Samochód ruszył, po chwili był już tylko małym punkcikiem w oddali, aż w końcu Billy zupełnie stracił go z oczu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Julie zdawało się, że w czasie podróży na Florydę zdażyła już wypłakać wszystkie łzy, kiedy jednak znalazła się znów w domu i wbrew protestom Harrisa weszła do służbówki szofera, z jej oczu znowu trysnęły fontanny łez.

Dziwnie i strasznie było pomyśleć, że Billy Lucas naprawdę mieszkał tu przez cały miesiąc, zanim go po raz pierwszy zobaczyła. Mieszkanie zastała dokładnie w takim stanie, w jakim je pozostawił. Ubrania porozrzucane były na podłodze i na łóżku, na stoliku leżała kupka drobnych monet, wszędzie walały się opakowania po lodach. Julie podniosła z łóżka pomarańczowy T-shirt i przytuliła go do twarzy. Koszulka pachnąca jeszcze Billym wywołała u niej nową falę tęsknoty i łez, poduszka przechowała wgniecenie - ślad jego głowy. Może tych przeżyć było zbyt wiele; Julie zaczerpnęła głęboko powietrza, żeby się trochę uspokoić, uniosła wzrok do góry i... ujrzała zamontowany nad drzwiami cały rząd kamer.

- Nie powinnaś była tutaj przychodzić - odezwał się Harris od progu. - Wydaje mi się, że lepiej by było, gdybyś dzisiaj spała w dużym domu.

- Nie mam żadnej ochoty słuchać twoich rad, Harris - Julie ledwie raczyła go dostrzec.

- Julie, przestań wszystko utrudniać - Harris westchnął i spojrzeniem pełnym dezaprobaty ogarnął cały pokój. - Ależ tu bałagan. Rano przyślę tu kogoś ze służby, żeby posprzątał.

- Kogoś ze służby. - Julie zaśmiała się sucho. - Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego ty i ja przez całe życie nie możemy obyć się bez „służby”? Mamy ludzi, którzy nas strzegą, ludzi, którzy nas wożą, tych którzy nam gotują i tych, którzy po nas sprzątają. Ciagle ktoś coś za nas robi.

- No, oczywiście, że tak jest. Przecież my... jesteśmy właśnie w tej szczęśliwej sytuacji.

- W takim razie wybacz, ale ja od tej pory rezygnuję z tego szczęścia. - Julie usiadła na łóżku i mimo woli zaczęła pieszczotliwie gładzić zmięte prześcieradło. - Jak najszybciej postaram się stąd wyprowadzić.

- Ależ to śmieszne! Po co się wyprowadzać, kiedy mamy tu dwadzieścia dziewięć pokoi?

Julie potrząsnęła głową, oczy miała otwarte tak szeroko, że zajmowały niemal połowę jej twarzy. - To ty masz dwadzieścia dziewięć pokoi, Harris. Ty jesteś panem tego pałacu. Ja sama nie wiem, co mam ani kim jestem; chcę jednak podjąć pewne działania, by się tego dowiedzieć.

Kiedy Billy Lucas czuł się szczęśliwy, jadł lody bananowe, kiedy jednak dopadała go depresja, pożerał olbrzymie ilości popcornu. Teraz praktycznie cały dom Colina upstrzony był popcornem, pełno go było i na dole, i na górze, na dywanie i na tarasie.

Billy usiłował przekonać sam siebie, że zasłużył sobie na poczucie winy i żalu, których doświadczał nieustannie, odkąd Julie stąd wyjechała. Każde spojrzenie na łóżko czy na sofę, każdy spacer po plaży boleśnie mu o niej przypominał. Był pogrążony w żałobie, jakiej nie przeżywał nigdy dotąd. Po dwóch dniach przestał nawet przyjmować telefony, ponieważ stracił nadzieję, że może jednak Julie się odezwie. Przez cały tydzień się nie golił, chodził wciąż w tych samych dzinsach i przybrudzonym podkoszulku. Z lustra patrzyła na niego dzika twarz Tarzana. Dni mijały, zapas popcornu był już na wyczerpaniu, a depresja, w jaką Billy popadł, wcale nie mijała. W końcu jednak trzeba było wynurzyć się z kryjówki, iść do sklepu i kupić coś do jedzenia. Właśnie usiłował wykrzesać z siebie tyle energii, żeby zwlec się z sofy i włożyć czyste ubranie, kiedy ktoś zapukał do drzwi wejściowych.

Serce w nim podskoczyło i rąco rzucił się do drzwi. To nie mógł być Colin... Jego przyjaciel miał własny klucz. Nie

przychodziła mu do głowy żadna inna możliwość jak ta, że to wraca Julie.

Otworzył drzwi i całe jego radosne oczekiwanie natychmiast prysło.

Na progu stał Harris.

Trudno byłoby powiedzieć, który z nich dwóch znajdował się w gorszym stanie. Harris był teraz jeszcze bardziej wychudzony, niż tydzień temu, przygarbił się, a ubranie na nim wisiało. Wyglądał jakby przybyło mu co najmniej dziesięć lat.

- Musimy porozmawiać - powiedział, mierząc Billy'ego spojrzeniem od stóp do głów. - O Boże, czy ty dopiero wstałeś z łóżka?

- Wcale się nie kładłem - odpowiedział Billy głucho. - I właściwie dlaczego miałbym z tobą rozmawiać? Przecież chciałeś nasłać na mnie swoich prawników czy jakichś innych drani, prawda? Tylko to miałeś mi do powiedzenia.

Harris pozostawił to bez komentarza jako dżentelmen w każdym calu, rzekł natomiast: - Chciałem cię uprzedzić, że przyjadę, ale nie odbierałeś telefonów. Obawiałem się, że mogę cię nie zastać.

Billy przymknął oczy, blask słońca najwyraźniej raził go i sprawiał mu przykrość.

- Czego chcesz, Roper? - zapytał.

- Czy mogę wejść? - Harris patrzył na niego prosząco, jak małe, bezdomne dziecko.

Billy wzruszył ramionami i usunął się z przejścia, Harris wszedł do środka i stanął jak wryty. Jeszcze nigdy nie zetknął się z takim przypadkiem depresji, a pobożowisko pokryte popcornem stanowiło widok rzeczywiście szokujący.

- Lucas, co tu się działo? - wydusił wreszcie.

- Julie - warknął Billy i podszedł do miski z popcornem, stojącej na stole. - Czym ci mogę służyć, Harris? Mam sobie poderżnąć gardło? A może skoczyć z balkonu?

- Nie, oczywiście, że nie. - Harris ostrożnie usiadł na sofie, strzepnąwszy z niej przedtem resztki popcornu. - To dla mnie bardzo trudne.

- Co?

- Trudno mi jest prosić cię o pomoc, szczególnie że kiedy ostatni raz cię o to prosiłem, ty uciekłeś razem z moją siostrą. Otóż, powstała pewna sytuacja...

- Sytuacja? - Billy uniósł brwi. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że masz kłopoty?

- Tak - przyznał Harris. - Moja siostra nie chce mnie już słuchać. W obecnym stanie rzeczy sama naraża się na niebezpieczeństwo. Ona nie umie pływać.

Billy wybałuszył oczy.

- Nic nie rozumiem.

- Kupiła sobie łódź mieszkalną i mieszka na wodzie. Wczoraj się tam przeprowadziła.

Na twarzy Billy'ego pojawił się blady uśmiech.

- To dobrze. O ile znam Julie, to będzie miała w związku z tym masę przygód. No, a co z Bo - Bo?

- Bo - Bo? Chodzi ci o Beauregarda? Są tylko przyjaciółmi, Julie wyraźnie mu to powiedziała.

Nastąpiło dłuższe milczenie.

- Lucas, odkąd stąd wyjechaliśmy, Julie jest zupełnie inną osobą. O ile się nie mylę, stałeś się dla niej kimś bardzo ważnym.

- Chyba się jednak mylisz - mruknął Billy. - Ona mnie nienawidzi.

- Lucas, czy ty ją kochasz?

- Oczywiście, że ją kocham! Jak mógłbym jej nie kochać? Każdy by ją kochał, gdyby tylko miał taką szansę; tylko że to

niczego nie zmienia. Ona zasługuje na kogoś lepszego niż ja, Harris. Ty masz pewnie więcej pieniędzy w kieszeni, niż ja na koncie. Mój ojciec był pijakiem i nawet nie wiem, czy jeszcze żyje. Miałem do czynienia z najgorszymi przestępcami i wykolejeńcami. Jestem podziurawiony kulami jak sito. Dość już, czy mam mówić dalej?

- Nie, to wystarczy - odpowiedział spokojnie Harris. Wstał, wyjął z kieszeni kawałek papieru i położył go na stoliku. - Tu napisałem, jak dojechać do nowego, pływającego domu Julie. Zanim stąd wyjdę, chciałbym jeszcze jedną rzecz wyjaśnić. Julie i ja jesteśmy w tej szczęśliwej sytuacji, że posiadamy zabezpieczenie finansowe, ale majątek nie świadczy jeszcze o wartości człowieka. Julie jest niezwykła przez to, że jest taka, jaka jest. Czasami myślałem sobie, że lepiej byłoby, gdybyśmy nie byli tacy bogaci, wtedy miałbym pewność, że jeśli ktoś ją poślubi, zrobi to jedynie z miłości. Byłem za tym, żeby wyszła za Beau, gdyż i on ma duży majątek i wiedziałem, że nie chodzi mu o jej pieniądze. Nie jestem snobem, Lucas. Za to ty chyba jesteś. Czym są jakiegokolwiek pieniądze wobec prawdziwego uczucia? A ty nie chcesz o nią walczyć tylko dlatego, że jest od ciebie bogatsza? Wiesz, gdybym był chociaż trochę większy, to chyba bym ci przyłożył.

- Zapominasz o jednym - powiedział Billy. - Ona nie chce mnie więcej widzieć.

- Podejrzewam, że zakochana kobieta jest zdolna do przebaczenia. - Harris zmierzał już do wyjścia. - Teraz wszystko zależy od ciebie. Jeśli ta historia pozostanie bez happy endu, to nie miej pretensji do mnie ani do swego ojca, ani do przeszłości czy do stanu swojego konta. Wtedy będziesz mógł mieć pretensje już tylko do samego siebie.

Drzwi zamknęły się za nim cicho, a Billy siedział bez ruchu, wstrząśnięty. Westchnął ciężko i ukrył twarz w

dłoniach. Trwał w jakimś bolesnym otępieniu i nie bardzo był w stanie myśleć.

Może rzeczywiście popełnił błąd, zakładając z góry, że jego związek z Julie nie ma żadnych szans na przyszłość?

Wyszedł na taras i patrzył na ocean. Poczuł, jak bardzo jest samotny. W sposób paradoksalny to obecność Julie w jego życiu nauczyła go odczuwać samotność. Pragnął jej teraz całym sobą, tęsknota przenikała go na wskroś.

Zamknął oczy, usiłując odnaleźć w sobie coś stałego, na czym mógłby się oprzeć. Odnalazł jednak tylko Julie, która wypełniała bez reszty jego serce, duszę i umysł i nie rozumiał, jak mógł przeżyć bez niej tyle dni. Zdawało mu się, że miał na uwadze tylko jej dobro. Czyżby popełnił jakiś zasadniczy błąd?

Jak miał teraz postąpić?

Kojący powiew znad oceanu pieścił mu twarz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Julie bardzo chwaliła sobie swoją niezależność. Prawdę mówiąc, te trzy tygodnie, odkąd zamieszkała sama, okazały się dla niej niezwykłym okresem. Odnalazła tu spokój i ciszę, wolna była od jakiegokolwiek ochrony i nadopiekuńczości Harrisa. Kochała swój nowy dom, mimo, a może właśnie dlatego, że w najmniejszym stopniu nie przypominał rezydencji Roperów. Nie miała tu starannie wypielegnowanego ogrodu ani bram i ogrodzeń strzeżonych przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nic nie dzieliło jej od oceanu, a nawet, po raz pierwszy w życiu poczuła, że nic nie dzieli jej od całej reszty świata. Jej łódź zacumowana była w niewielkiej, płytkiej zatoczce, obok dwóch starych łodzi rybackich. Był to jej własny dom, jej pierwszy własny dom. Wmawiała sobie, że nic więcej jej do szczęścia nie potrzeba, a chwilami nawet prawie w to wierzyła.

Kiedy usypiała, jej łódź lekko kołysała się na falach, a z brzegu słychać było cichą muzykę świerszczy. Kiedy rano otwierała oczy, natychmiast orzeźwiało ją chłodne, morskie powietrze.

W pobliżu doku, w odległości mniej więcej półtora kilometra, znajdowało się najbliższe miasteczko. Podobała jej się w nim nawet nazwa; Tajemniczy Port. Chodziła tam prawie codziennie po owoce i warzywa, a spacer przez senną, nadbrzeżną wioskę sprawiał jej niekłamaną przyjemność.

Starła się spędzać czas jak najbardziej aktywnie. Musiała przyrządzać sobie posiłki. Kupiła pierwsze w swoim życiu wiadro i szczotkę do szorowania pokładu i uczyła się robić z nich użytek, przy okazji raz po raz wbijając sobie drzazgi w ręce. Kiedy tylko zaczynała myśleć o Billym, natychmiast brała się za sprzątanie. Jej łódź lśniła czystością i mogłaby zbierać za to nagrody.

Julie chodziła teraz przeważnie w bawełnianych podkoszulkach i szortach, a odkąd tu zamieszkała, nie zawracała sobie głowy makijażem. Włosy miała zwykle związane w koński ogon, paznokcie domagały się manicure, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało.

Stopniowo opadało z niej dotychczasowe napięcie, poczuła, jak cudownie uzdrawiający wpływ na jej ciało i ducha mają długie, ciepłe popołudnia, które spędzała leniwie, jak kot wyciągnięta na słońcu. Czuła się dzieckiem natury, niczym samotna syrena mieszkająca ni to na lądzie, ni na wodzie.

Harris odwiedził ją tu dwukrotnie i było to o jeden raz za dużo. Julie nadal była na niego zła, lecz nie bała się już, że brat będzie usiłował ograniczyć jej wolność. Na to była już zbyt silna, zanadto zdeterminowana. Nikt nie byłby w stanie odebrać jej niezależności, nie tylko Harris. Poczęstowała go tostem z tuńczykiem, który zjadł i zaraz zwrócił - najwyraźniej kołysanie łodzi jakoś mu nie służyło. Wymusił na niej obietnicę, że zacznie brać lekcje pływania, po czym szybko pożegnał się i odjechał.

Dla Julie jej pływający dom był cudownym schronieniem, tu jej rany miały szansę się zagoić. Czuła się prawie niewidzialna, jak wszystkie inne stworzenia posłuszna prawom i rytmowi natury. Wiedziała, że przyjdzie czas, kiedy jej potrzeby wzrosną i będzie musiała zdecydować, co dalej robić ze swoim życiem. Nie było z tym jednak żadnego pośpiechu.

Zdarzało się, najczęściej w nocy, że zaczynała tęsknić za bliskością mężczyzny, za czułością i dotykiem. I nie chodziło jej o jakiegokolwiek mężczyznę, tęskniła aż do bólu tylko za tym jednym jedynym, który zranił ją tak jak nikt inny na świecie. Mówiła sobie, że ból minie, a rana się zablizni, lecz czuła, że wraz z Billym straciła część siebie. Marzyła o tym,

by doznać jakiejś częściowej amnezji, zapomnieć, co przeżyła i wyzwolić się od zawiedzionej miłości.

Dni zatraciły swoje nazwy. Któregoś popołudnia, mógł to być równie dobrze piątek, jak środa czy czwartek, postanowiła zrobić użytek ze starych sztalug, farb i pędzli, pozostałych po poprzednim właścicielu łodzi. Nigdy jeszcze nie próbowała malować, dzień jednak był piękny i wyzwolił w niej moce twórcze. Zamiast malarskiego fartucha miała na sobie żółte bikini, które kupiła w Kalifornii i w którym Billy nigdy jej nie widział, włosy związała w odstające kucyki, żeby nie nurzały się w farbie. Malowała z wielkim zapałem, starając się odtworzyć wielkie, złociste słońce ponad bezkresem błękitnego oceanu.

I tak właśnie zastał ją Billy.

Nie słyszała, jak nadchodził, plusk fal zagłuszył jego kroki. Przyglądał jej się długo z zapartym tchem; Julie była bez reszty pochłonięta malowaniem. W tym uczesaniu wyglądała na dwunastoletnią dziewczynkę, natomiast skąpe bikini demaskowało fakt, że jest nadzwyczaj atrakcyjną młodą kobietą. W tym kostiumie wyglądała tak oszałamiająco, że Billy na jej widok o mało nie dostał ataku serca.

Dopiero po paru minutach odzyskał mowę i zapytał:

- Czy mogę wejść na pokład? - Strasznie się bał, że Julie każe mu odejść i nie będzie chciała z nim rozmawiać; on pragnął jednak nasycić się chociaż jej widokiem. Był speszony i zakłopotany tak bardzo, że nie poznawał sam siebie.

Kobieta - dziecko w żółtym bikini na moment zamarła z pędzlem w dłoni. Potem bardzo, bardzo powoli odwróciła głowę i spojrzała na Billy'ego.

- Co... co ty tutaj robisz? - zapytała.

Na brodzie i na czubku nosa miała farbę. Była boso. Serce Billy'ego wezbrało męską, opiekuńczą miłością. Modlił się o

właściwe słowa i o to, żeby był w stanie je wyartykułować. Wreszcie drżącym, zachrypniętym głosem powiedział:

- Przyjechałem sprawdzić, czy twój brat miał rację.

Julie tymczasem na tyle zdołała zapanować nad sobą, że z powrotem zajęła się swoim obrazem, zanurzyła pędzel w farbie i zapytała niedbale:

- Rację w jakiej sprawie?

- Powiedział, że jeśli kobieta naprawdę kocha mężczyznę, to jest w stanie mu wybaczyć.

Pędzel w ręku Julie jakby zaczął żyć własnym życiem; uświadomiła sobie, że właśnie namalowała wielką różową chmurę. Usiłowała zasłonić obraz przed Billym. Serce waliło jej w piersi. Zaczęła ją ogarniać panika. Nawet w tej chwili pragnęła tego mężczyzny, mimo że tak strasznie ją zranił; teraz rana zaczęła krwawić od nowa.

- Harris jest równie niewinny i niedoświadczony jak ja kiedyś byłem. On pewnie też wierzy jeszcze w szczęśliwe zakończenia - odpowiedziała odwrócona do niego tyłem.

Billy wszedł na pokład, nie czekając dłużej na jej pozwolenie. Widział, jak Julie znieruchomiała w napięciu. Przejście tych kilku kroków, które go od niej dzieliły, wydawało mu się najtrudniejszym zadaniem, przed jakim kiedykolwiek stawał; nigdy też nie czuł się tak bezbronny. Ten twardy facet, Billy Lucas, był teraz słaby jak dziecko i właściwie przydałaby mu się kuloodporna kamizelka, którą osłoniłby swoje serce.

- Ja nie wierzyłem - powiedział cicho. - Nigdy nie wierzyłem w szczęśliwe zakończenia.

- Oczywiście - parsknęła drwiąco Julie, z goryczą, której nie potrafiła ukryć. - Mnie też zaraziłeś swoim cynizmem. - Nie była w stanie dłużej ani chwili siedzieć w jego obecności prawie naga; to że przedtem byli ze sobą, że się kochali, przestało się teraz liczyć, powróciło całe jej dawne

skrepowanie. Odstawiła sztalugi, odłożyła pędzel i zasłaniając się rękami, skierowała się w stronę kabiny. - Zmarzłam trochę. Muszę się ubrać.

- Julie, proszę cię...

- Zaraz wrócę - odparła krótko, odwracając się od niego, aby nie dostrzegł wyrazu paniki w jej oczach.

- Poczekam.

- Jak sobie chcesz.

W kabinie Julie oparła się plecami o ścianę i usiłowała odzyskać równowagę ducha. Zdążyła już zapomnieć, jak bardzo Billy oddziaływał na nią fizycznie, tym więc silniejszego doznała teraz wstrząsu. Jego męski urok objawił jej się całkiem na nowo.

Billy był naprawdę bardzo przystojny. Obcisłe dzinsy i jasna koszula z podwiniętymi rękawami dobrze to podkreślały. No cóż, kłamcy też bywają przystojni.

Nie miała pojęcia, po co się tu pojawił, skoro minęły już trzy tygodnie od ich burzliwego rozstania w Kalifornii. Na początku miała nawet jakąś nie do końca uświadomioną nadzieję, że do niej przyjedzie; stopniowo jednak przestała w to wierzyć. I kiedy przyzwyczaiła się już do myśli, że Billy nie kocha jej na tyle, aby jej poszukać - on pojawił się nagle, jak grom z jasnego nieba. Jak śmiał?

Kiedy wróciła na pokład, miała na sobie skromną sukienkę w paski; z twarzy zmyła farbę, włosy uczesała jak przystało na osobę dwudziestotrzyletnią. Podeszła do stołu i zaczęła składać farby.

- A więc o czym to mówiłeś? - zapytała chłodno. Billy z trudem przełknął ślinę. Julie nie ułatwiała mu zadania, lecz wcale nie oczekiwał, że to spotkanie będzie łatwe.

- Powiedziałem, że nie wierzyłem w szczęśliwe zakończenia... dopóki nie spotkałem ciebie. Moje dzieciństwo, praca, całe moje życie, nauczyły mnie, że nic takiego jak

szczęśliwe zakończenia nie istnieje. Zawsze spodziewałem się najgorszego i to mnie właśnie spotykało. Możliwe nawet, że właśnie taka postawa pozwoliła mi przeżyć. Dlatego też... kiedy cię poznałem, zupełnie nie byłem przygotowany na to, co się między nami wydarzyło. Nawet nie przeszło mi przez myśl, że mógłbym mieć jakąś szansę u kogoś takiego jak ty.

- Nie masz takiej szansy - odparła Julie głucho. - Miłość wymaga zaufania, nie uważasz? Nie potrafiłabym być z kimś, komu nie ufam. Nie mówiąc już o tym, że nie zadałeś sobie żadnego trudu, żeby o mnie walczyć. Ile czasu już minęło, odkąd wyjechałam z Kalifornii? Prawie miesiąc! Więc co sprawiło, że nagle sobie o mnie przypomniałeś? Nie wmawiaj mi tylko, że taki doświadczony detektyw jak ty nie był w stanie mnie wytropić.

Billy odrzucił głowę w tył i opierając się o barierkę, patrzył w niebo.

- Julie... niemal od dnia twojego wyjazdu, wiedziałem, gdzie jesteś. Harris mi powiedział.

- Dzwoniłeś do niego? - zapytała prawie niedosłyszalnie.

- Nie - powiedział zgodnie z prawdą, chociaż wiedział, że nie przemówi to na jego korzyść. Julie nie rozumiała, że ta rozłąka miała być dla niego zasłużoną karą, miała służyć jego oczyszczeniu. - Harris przyleciał do mnie do Kalifornii, rozmawialiśmy i dał mi twój adres. Tylko że, niestety, pomyślałem... i chyba nadal myślę, że zasługujesz na kogoś lepszego niż taki tam były policjant, którego jedyną zasługą jest to, że, jak dotąd, nie dał się zabić.

Julie na chwilę zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, były pozbawione wyrazu.

- Jeśli w to właśnie wierzysz, to pewnie masz rację. Zasługuję na coś więcej, niż to, co miałeś mi do zaoferowania. Bardzo cię proszę, Billy, żebyś już stąd poszedł.

Ruszył w jej kierunku.

- Julie...

Powstrzymała go jednak gwałtownie.

- Nie! Nie waż się podejść ani kroku bliżej. Ty jesteś... jesteś. .. - rzadko używała obraźliwych określeń i nie wiedziała, jak ma go nazwać, żeby go dotknąć. - Jesteś zły i nie pozwolę, żebyś mnie dłużej ranił - wyrzuciła z siebie w końcu. - Ja oddałam ci wszystko, a ty nie potrafiłeś nawet powiedzieć mi prawdy. Szczęśliwe zakończenie to pewnie coś, co cię przerasta, Billy. Kłóciłoby się z twoim przekonaniem o podłym i niewdzięcznym świecie. Trzeba wierzyć w kogoś i w coś, a to pewnie jest za trudne dla faceta tak pozbawionego złudzeń jak ty. Tym sposobem unikasz ryzyka, przynajmniej jeśli chodzi o uczucia.

- Julie, nie miałem racji. Te ostatnie tygodnie wiele mnie nauczyły. Jak wszyscy inni potrzebuję miłości i nadziei, potrzebuję ciebie. Bóg mi świadkiem, że cię Kocham.

- Pierwszy raz mi to mówisz - rzekła Julie ze smutkiem. - Szkoda tylko, że jest już za późno.

Billy wpatrywał się w nią długo i uparcie. Nigdy w życiu o nic nie zebrał. Brał coś, znajdował, zdobywał, ale nigdy o nic nie prosił. Teraz cała jego duma legła w gruzach; chętnie padłby przed Julie na kolana, ale coś w jej oczach mówiło mu: To za mało, za mało.

Patrzył tak na nią, bo chciał na zawsze utrwalić sobie w pamięci jej obraz; rozpuszczone włosy, letnią sukienkę w paski i wielkie, ciemne oczy w jej pięknej twarzy, oczy, w których widział wyraz cierpienia. To on, nikt inny, był sprawcą jej bólu.

- Tak mi przykro - powiedział krótko. - Bardzo mi przykro. Przepraszam cię, najmilsza.

Odwrócił się i zaczął odchodzić.

Julie patrzyła w ślad za nim, oszołomiona.

- Jak śmiesz odchodzić w ten sposób?

- Co? - Billy zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Czy wciąż niczego się nie nauczyłeś? - Julie drżała z gniewu i oburzenia. - Nie pojmujesz, co mi zrobiłeś? Cierpiałam, męczyłam się, umierałam z tęsknoty za tobą, a ty teraz tak sobie, po prostu dajesz za wygraną?

Billy powoli odwrócił się do niej z ustami otwartymi ze zdumienia. Pierwsze maleńkie ziarnko nadziei zakiełkowało w jego sercu.

- Sama mi powiedziałaś, żebym sobie poszedł.

- Czy zawsze robisz tylko to, co ci się każe? Nie masz swojego własnego rozumu? Nie słyszałeś, że można walczyć o coś innego, niż tylko o własną skórę? A może ja nie jestem warta tego, żeby o mnie walczyć? To, co nam się przydarzyło, było prawdziwe, nawet jeśli fałszywa była twoja historyjka.

- Co ty mówisz? - szepnął Billy, nie wierząc własnym uszom.

- Nie wiem, co mówię! Jestem na ciebie wściekła. Mówisz, że mnie kochasz, ale potrafiłeś mnie skrzywdzić jak nikt inny. A teraz zabierasz się i odchodzisz! A co z nadzieją, Billy? Co z marzeniami? I z wytrwałością?

- Chyba do reszty tracę zmysły - wymamrotał Billy tylko pół żartem. W jego oczach pojawił się nowy blask, oznaka budzącej się nadziei. Zrobił jeden krok w kierunku Julie, która i tym razem nie odsunęła się, co uznał za dobry znak. Podszedł jeszcze o krok bliżej.

- Julie, czy to znaczy, że dajesz mi drugą szansę?

- Niczego ci nie daję - odpaliła. - Będziesz musiał sam na wszystko zapracować. I to ciężko, bo jestem tego warta! Do diabła! Jestem czymś najwspanialszym, co kiedykolwiek w życiu ci się zdarzyło i najwyższa pora, żebyś zdał sobie z tego sprawę. Chociaż raz w życiu wreszcie w coś uwierz!

Julie była zupełnie roztrzęsiona i Billy znał tylko jeden sposób, żeby ją trochę uspokoić. Położył jej dłonie na

ramionach i delikatnie przyciągnął ją do siebie. Pocałunkiem skutecznie przerwał jej tyradę. Ten nagły pocałunek stał się wyrazem ich wielkiej, tłumionej tęsknoty; długo nie mogli się od siebie oderwać. Billy czuł, że płonie, tak bardzo pragnął tej kobiety. Bał się uwierzyć w cud, jakim była dla niego Julie Roper, lecz o wiele bardziej bał się ją stracić.

W pewnej chwili zauważył że Julie płacze, ponieważ jednak wciąż trwała mocno do niego przytulona, zrozumiał, że tym razem są to łzy szczęścia.

- Dlaczego czekałeś tak długo? - zapytała, a na jej twarzy odmalowały się jednocześnie, gniew, nadzieja i miłość. - Tak na ciebie czekałam, ale ty się do mnie nie śpieszyłeś.

- Nie mogłem się na to zdobyć, bo nie czułem się wobec ciebie godzien - wyjaśnił Billy, drżącymi rękami ocierając jej łzy. - Zraniłem cię tak bardzo, że potem sam siebie chciałem ukarać. W końcu zrozumiałem jednak, że to głupota i podłość.

- Tak na ciebie czekałam - powtórzyła jeszcze raz żałośnie. - Bałam się, że może nie jestem warta, żeby o mnie walczyć. Mówiłam sobie, że przecież mnie odnajdziesz, ale dni mijały jeden za drugim i... Billy, nigdy jeszcze nie było mi tak źle.

- Przepraszam, maleńka - odpowiedział, czując wielki ból w sercu. - Jesteś warta, by o ciebie walczyć, Julie. Jesteś warta, żeby żyć dla ciebie i umrzeć. To ja jestem nic niewart. Jakoś zawsze czułem się oddzielony od reszty świata; z jakiejś nieznanej przyczyny dumny byłem z tego, że nikogo w życiu nie potrzebuję. Wydawało mi się, że żyję pełnią życia, lecz to była pomyłka. Teraz wiem, że moje serce trwało jakby w letargu i nigdy nie dopuściłem do niego nawet promyka nadziei.

- Czy wydaje ci się, że ja byłam inna? Harris zawsze mówił mi, że posiadam „wszystko”. Nie zdawałam więc sobie

sprawy, czego mi w życiu brakuje. Potem spotkałam ciebie i dowiedziałam się; to ciebie mi brakowało.

- Daj mi jeszcze jedną szansę - poprosił cicho Billy i jemu także łzy zamglily wzrok. - Spróbujmy odzyskać nasze szczęście. Obiecuję ci, że już się nie zawiedziesz.

Zamiast odpowiedzieć, Julie złożyła na jego ustach nieśmiały pocałunek. Całowali się coraz mocniej i coraz zachłanniej, aż wielkim płomieniem wybuchnęła w nich namiętność. Chcieli być coraz bliżej siebie i nic nie mogło ich dzielić. Trawił ich ogień wewnętrzny i pieściło słońce. Ten żar był balsamem na ich udęczone serca.

- To nie jest tylko to, Julie - szepnął Billy, z trudem łapiąc oddech. - To znacznie więcej niż miłość fizyczna. Musisz uwierzyć...

- Bądź cicho, Billy - uciszyła go Julie niskim, zmysłowym głosem. - Ja dobrze wiem, co to jest. Namiętność, rozkosz, ból... to wszystko daje w sumie miłość. Tego mnie nauczyłeś; no a teraz chciałabym...

- Teraz, w tej chwili? - Billy popatrzył na nią rozkochanym wzrokiem. - Czego byś teraz chciała, mój aniele?

- Chodź za mną - szepnęła konspiracyjnie i wzięła go za rękę. Billy posłusznie poszedł za nią. Wąskimi schodkami zeszli na dół, do mieszkalnej części łodzi, w niskim przejściu Billy musiał uważać, żeby nie uderzyć się w głowę.

Na progu kabiny Julie zatrzymała się i popatrzyła na niego wyczekująco.

- Co się stało? - zapytał.

- Jest taki piękny, stary zwyczaj, że zaczynając wspólne życie, mężczyźni przenoszą kobiety przez próg. - Julie zatrzepotała długimi rzęsami i popatrzyła na niego z wyczekiwaniem.

Znów, posłusznie jak grzeczny chłopiec, wykonał jej polecenie. A potem delikatnie położył ją na łóżku i w tym momencie przestał być grzecznym chłopcem. Od samego początku ich związku wiedział, że Julie jest kobietą, która potrzebuje silnych wrażeń. Miał w tej dziedzinie parę dobrych pomysłów i chciał spełnić jej pragnienia, marzenia i zachcianki. Julie kochała jego ręce, wciąż na nowo tęskniła za dotykiem jego ust, które zaraz zaczęły znaczyć gorące ścieżki na jej ciele, po długich tygodniach rozstania wędrując po nim i odkrywając je na nowo. Julie drżała i wiała się w oczekiwaniu i narastającym z każdym jego dotykiem pragnieniu. Zanurzyła głodne palce w jego gęstych, ciemnych włosach. Każdą komórką ciała pragnęła jedności z nim i spełnienia. Billy znał tajemnice, których ona nie odkryła i był w stanie podsycać płonący w nich obojgu ogień, aby nigdy nie zagaśł.

A ona chciała się tego od niego nauczyć.

- Billy? - westchnęła. - Proszę cię, zrób coś dla mnie...

Billy wsparł się na łokciach i spojrzał na to zdumiewające wcielenie zmysłowości i pragnienia, jakim była jego Julie. Zdumiewało go, jak szybko w tej dziewczynie obudziła się dojrzała, namiętna kobieta. Teraz jej złote włosy rozsypały się na poduszce jak welon, usta miała rozchylone i wilgotne, twarz płonąca rumieńcem.

- Zrobię wszystko, co zechcesz, kochana.

- Wiesz, nie musisz być już ze mną taki ostrożny - uśmiechnęła się spod rzęs. - Wtedy w Kalifornii starałeś się mnie oszczędzać, ale teraz już nie musisz. Ja nie chcę, żebyś traktował mnie tak, jakbym była zrobiona ze szkła.

Billy popatrzył na nią jak dawniej, żartobliwie i trochę po łobuzersku.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Doskonale wiesz, co chcę przez to powiedzieć. - I mówiąc to, Julie przyciągnęła go do siebie, drżąc cała z

oczekiwania i niecierpliwości i zaczęła całować go mocno, drapieżnie, inaczej niż dotąd. Billy zdumiał się przez moment, po czym odpowiedział na jej pocałunek z taką samą siłą; trudno mu było uwierzyć, że to wciąż ona, ta sama Julie, która jeszcze nie tak dawno była niewinną i naiwną istotą.

- Tak pięknie pachniesz słońcem i kwiatami... - powiedział, ale potem nie było już miejsca dla słów. Chcieli być bliżej, wciąż bliżej, najbliżej jak można. Wciąż jednak dzieliło ich ubranie. Ich głodne usta i ręce szukały się nawzajem, biodra drgały we wspólnym rytmie, Julie jęczała w bólu narastającej rozkoszy. Wciąż chciała więcej i więcej, chciała dotrzymać mu tempa w tym zmaganiu, a trzeba przyznać, że była pojętną uczennicą. Kiedy doszli do punktu, gdy ani chwili dłużej nie mogli już znieść niespełnienia, Julie bardzo powoli zsunęła z siebie sukienkę, pozwalając Billy'emu sycić się swoim widokiem, a pod lekką sukienką nie miała już niczego. Billy musiał mężnie wytrzymać chwile oczekiwania, a jego podniecenie sięgało niemal szczytu. Czy Julie była aż tak wyrafinowana, czy uczennica zaczynała przerastać mistrza?

Nie przestając się w nią wpatrywać, usiadł na łóżku i on też zrzucił z siebie ubranie. Robił to po omacku, byle szybciej. Natychmiast znowu splekli się ze sobą, niezdolni już do żadnej racjonalnej myśli, pragnąc tylko kontaktu ciała z ciałem, dotyku, połączenia. Odkrywali, jak bardzo do siebie pasują, jak spotykają nawzajem swoje potrzeby, byli jedno dla drugiego domem i przystanią.

Kiedy wreszcie Billy w nią wszedł, Julie była niemal nieprzytomna i drżąca. Biła zaciśniętymi dłońmi w materac, głowę odrzuciła do tyłu, zamknęła oczy. Jeszcze nigdy przedtem, kiedy się ze sobą kochali, nie miało to takiego napięcia, Billy bowiem starał się kontrolować, hamować i ograniczać swoją namiętność, aby przypadkiem nie zrobić

Julie krzywdy. Tym razem jednak ona wyraźnie sobie tego nie życzyła, chciała oddać mu się bez reszty, a więc i on poczuł się wolny. Nie było już barier dla ich spontanicznej miłości; z trudem łapali oddech, on wchodził w nią wciąż głębiej i głębiej, a Julie pomagała mu w tym, jakby razem z wysiłkiem zdobywali szczyt. Czowała, że prawdziwa ekstaza jest czymś rzadkim i że tylko ci, którzy się naprawdę kochają, mogą osiągnąć takie doskonałe zjednoczenie. Przez ułamek sekundy poczuła przyływ wielkiego współczucia dla tych wszystkich par na świecie, które spełniają akt miłosny, w rzeczywistości wcale naprawdę nie kochając. Ci ludzie nie wiedzieli nawet, ile tracą.

Ich ruchy stawały się szybsze i gwałtowniejsze, wznosili się razem coraz wyżej, oddychali szybko, z trudem łapiąc powietrze... aż wreszcie osiągnęli w jednej chwili rozkosz i wyzwolenie, najwyższe fizyczne spełnienie, jakiego może doznać człowiek.

Ogarnęła ich wielka ulga, spokój i zachwyty. Nie przestawali patrzeć sobie w oczy, odnajdując się w sobie nawzajem.

Czuli, że dotknęli istoty życia, największej tajemnicy, marzenia, które nosi w sobie każdy żywy człowiek. To była miłość.

Po jakimś czasie Billy zwilżył ręcznik i otarł twarz Julie z potu i łez szczęścia. Chciał wciąż na nowo jej dotykać, pieścić, sprawdzać, że naprawdę jest przy nim i że to nie sen. Wiedział jak wielkie mieli szczęście, że udało im się odzyskać skarb, którego o mało nie stracili.

Odczuwał wielką pokorę i wdzięczność, że prawdziwa miłość umiała się obronić, mimo popełnionych przez nich błędów.

Wszystko wskazywało na to, że jego zły los się odwrócił. Billy Lucas miał już teraz na pewno w co i w kogo wierzyć,

spotkał cudowną kobietę, do której należał, otwierało się przed nim nowe, wspaniałe życie.

- Czy naprawdę byłeś dzisiaj gotów stąd odejść? - szepnęła Julie leżąc tuż przy nim. - Po tym wszystkim co było... byłeś gotów tak po prostu odejść?

Billy z czułością odgarnął jej włosy z twarzy.

- Nie, najdroższa. Następnego dnia przyszedłbym znowu, a potem znów i znów. O miłość warto walczyć i warto za nią cierpieć. To ty mnie tego nauczyłaś. Bóg świadkiem, że mogłaś trafić znacznie lepiej niż na takiego nawróconego cynika, bez kropli błękitnej krwi w żyłach. Na pewno jednak nikt nie kochałby cię bardziej niż ja. I jeśli tylko uwierzysz mi jeszcze ten raz, przysięgam, że cały świat złożę u twoich stóp.

- Już to zrobiłeś - westchnęła Julie, uśmiechając się radośnie. - A jak ci się podoba twój nowy dom?

- Jest cudowny. Przede wszystkim dlatego, że ty w nim jesteś. Ale właściwie, dlaczego postanowiłaś zamieszkać na łodzi?

- To tajemnica, ale tobie mogę ją zdradzić - szepnęła Julie konfidencyjnie. - Tutaj nie można postawić żadnych ogrodzeń, krat ani bram dla ochrony.

- Tak strasznie masz dość ochrony?

- Tak. Tutaj będziemy tylko ty i ja, solidarni wobec reszty świata. I co pan na to, panie policjancie?

Billy uśmiechnął się, obejmując ją tak czule i delikatnie, jakby brał w objęcia najdelikatniejszy kwiat. Wiedział jednak, że Julie wcale nie jest słaba i krucha. Wręcz przeciwnie. Ta zadziwiająca kobieta - jego kobieta - była znacznie silniejsza, niż na to wyglądała.

- No to niech cały świat ma się lepiej na baczności - powiedział.